MŁODY NURT



PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

NR 1 ROK 1

KOLEŻANKI! KOLEDZY!

Dajemy wam do ręki pierwszy numer pisma. Piszą w nim wasi koledzy dla was, mając nadzieję, że już w następnym numerze „Młodego Nurtu" wy sami zabierzecie głos. Jeśli uważacie, że pismo obejmujące różnorodne działy, otwierające okna na świat, redagowane przez młodzież dla młodzieży, jest konieczne — to czytajcie i rozpowszechniajcie „Młody Nurt", a przede wszystkim bierzcie pióro do ręki i zasilajcie tekę redakcyjną. W każdym gimnazjum, liceum, szkole zawodowej i inn. pozyskać chcemy współpracownika-korespondenta, któryby podjął się kolportażu pisma, zbierania materiałów z terenu swej szkoły i utrzymywał stały kontakt z redakcją.

Nie rzucamy wielkich obietnic i planów, gdyż pismo będzie tym, czym wy sami je uczynicie. Mamy wiarę, że stanie się dla was nieodłącznym przyjacielem, na którego każdy numer czeka się z niecierpliwością, bliskie waszym radościom i troskom. Los „Młodego Nurtu" leży w waszym ręku. Oczekujemy oceny pierwszego numeru, artykułów do drugiego.

REDAKCJA

WIECZÓR POEZJI I MUZYKI

Na terenie Torunia byliśmy świadkami ciekawej i wartościowej imprezy. „Koło Humanistyczne przy państw. gimn. męskim nr. 185 i Lic. Hum., dzięki pomocy artystycznej opiekuna swego, p. dr. Kaczmarka urządziło wspaniałą akademię, pod nazwą „Wieczór poezji i muzyki, od Romantyzmu do Młodej Polski".

*

Wielka sala, napełniona po brzegi granatowymi mundurkami... gwar, głośne rozmowy, stłumione śmiechy — jak zwykle przed rozpoczęciem imprezy młodzieżowej. Tu i ówdzie widać przedstawicieli „starszego pokolenia" z poważnymi minami, dziwnie niepasującymi do roześmianej, błękitno - czerwonej czeredy.

Ogólną uwagę zwraca dekoracja, a raczej tło — naprędce improwizowanej sceny, wywołujące wiele niedwuznacznych komentarzy. To wielka, dziewicza, w całej krasie swych wdzięków i z tajemniczo uśmiechniętymi oczyma muza poezji — boska Erato!

W jednej chwili, gdzieś z boku sceny wykwita sylwetka przystojnego conferencier'a. Cichną szmery na sali... ucicha gwar. Już cisza... Conferencier plecie „trzy po trzy", niby to objaśnia program „Wieczoru"... skończył wreszcie. Pierwszym utworem produkowanym jest „Oda do młodości".

Padają wśród wytężonej ciszy słowa... rój słów rozedrganych w powietrzu brzęczy, uderza o struny duszy i tam, tonami drżeń tajemniczych się odzywa. Zmartwychwstaje Mickiewicz w niebogatej, gimnazjalnej auli. — Porywa... Wzbudza w młodych duszach jakieś siły tajemnicze, pragnienie czynu i wielkości... „Młodości, ty nad poziomy wylatuj" — padają słowa na głowy słuchających, niby rój iskier, które są zdolne w płomienia rozpalić serca młode. Jeszcze ostatni akord, ostatni apel poety i... kłania się blady z wysiłku odtwórca. Wychodzi z kręgu światła reflektorów wśród straszliwych oklasków i nieopisanego entuzjazmu przepełnionej sali.

Defilują przed audytorium sylwetki pojedyńcze, wzgl. całe zespoły odtwórców — każdy z siebie daje tyle, ile może — każdy jest dobry i w nagrodę otrzymuje huczne oklaski.

Spływa ze sceny czarowna poezja koncertu Jankiela z „Pana Tadeusza", pomieszana z dźwiękami fortepianu. Złowrogo brzęczą fałszywe struny cymbałów Jankiela. Szarpią duszę palącą, targowicką struną i upajają wielką rzeszę 3-ciomajową przeszłością...

A potem odzywa się Norwid . Ożywia dźwiękami poezji „Fortepian Chopinowski". Słowa urywane... miażdżące... piękne — słychać strzały polskiej insurekcji... łomot walącego się na barykady fortepianu, „duszy wielkiego wizjonera". I znowu oklaski...

Przesuwają się punkty programu.

Brzmi jeszcze potężnie, w drugiej części „Wieczoru" realistyczna poezja Wyspiańskiego. Pamiętne słowa „Chłop potęgą jest i basta" kończą monolog z „Wesela".

Poezję przeplata muzyka skrzypcowa i fortepianowa: Moniuszki i Chopina. Dźwięki muzyki uzupełniają dogłębnie to, czego nie wyraziła poezja.

Padają ze sceny ostatnie zwrotki... Conferencier to powiedział. Szkoda, że już... Koniec. Ostatnie oklaski i wszyscy powstają z miejsc, by odejść do domu. Na obliczach mają wszyscy dziwną, świąteczną jakąś radość — gdzieniegdzie zadumanie, rozmarzenie widać... Sala pustoszeje...

Toruń (Liceum Hum.) **M. Pardyka.**

TARGI POZNAŃSKIE

Z wszyskich stron Polski zebrano wytwory rąk ludzkich. Zbiegła się moc ludzi, którzy pragną załatwić swe interesy, zaopatrzyć się w nowe zdobycze. Tylko my, opatrzeni niebieskim paskiem sztubacy wędrujemy po Targach wiedzeni ciekawością i podziwem dla wzrastającej potęgi umysłu ludzkiego. Obserwujemy, jak coraz wyżej podnosi się poziom kultury materialnej Polski.

Nie tylko kraj cały nadesłał swe wytwory, ale mamy i zagranicznych gości. A więc Norwegia kusi nas pysznymi nartami i modelami okrętów. Ze zdumieniem oglądamy włoski eksponat: kino dźwiękowe o prostej zasadzie używania, za 15 tys. zł. Bibliofile z zazdrością spozierają na ilustrowane książki włoskie, między innymi imitację oryginałów Codice Vergiliano i Horatio. Domorośli majstrowie oglądają każdą śrubkę modelu kolejki elektrycznej, którą bawili się dzieci Mussoliniego. Jugosławia (jak i nasze uzdrowiska) nęci słońcem i pięknem. Czesi wystawili precyzyjne maski gazowe, motocykle, wielki model samolotu i przybory fotograficzne. Kobiety żądnie spoglądają na świecidełka czeskie. Jak można tabele i wykresy uczynić precyzyjnymi i przemawiającymi do widza pokazała Belgia, ilustrując stan swego eksportu, stosunki z Polską. Obok czernią się straszne i dziwne rzeźby z dalekiego Konga belgijskiego. Niemcy dali maszyny, maszyny, maszyny. Od precyzyjnych majstersztyków do wielkich kolosów.

Z Krajowych rzeczy najdłużej naturalnie zatrzymujemy się przed motocyklami, rowerami, marząc o wakacyjnych wędrówkach.

Ciągną się długie szeregi pomysłowych stoisk, pełnych wszelakich „cudowności". Lecz pędzimy z niecierpliwością do działu wynalazków. Z roku na rok zwrosta ich liczba. W tym roku mamy: rower pędzony „siedzeniem" jeźdźca, pomysłowe oparcie dla strzelca, parowóz pędzony gazem, najrozmaitszego typu automaty n.p. automatyczna wyrzutnia bomb lotniczych itd., maszyna sama adresująca gazety i całe mnóstwo innych drobiazgów.

Ludzie załatwiają swe interesy, pędzeni żądzą pieniądza. Nas kusi nowość i postęp. **M. Szymański** — Poznań

MŁODY NURT

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Nr 1 ROK I
15 MAJA
1938 ROKU



„GDY JESTEM W ROZTERCE Z SOBĄ, GDY WSZYSCY SĄ PRZECIWKO MNIE, GDY WOKOŁO PODNOSI SIĘ BURZA OBURZENIA I ZARZUTÓW, GDY OKOLICZNOŚCI NAWET SĄ POZORNIE WROGIE MOIM ZAMIAROM — WTEDY PYTAM SIĘ SAMEGO SIEBIE JAKBY MATKA KAZAŁA MI W TYM WYPADKU POSTĄPIĆ I CZYNIĘ TO, CO UWAŻAM ZA JEJ PRAWDOPODOBNE ZDANIE, ZA JEJ WOLĘ — JUŻ NIE OGLĄDAJĄC SIĘ NA NIC..."

J. PIŁSUDSKI
(Pisma, Mowy, Rozkazy).



MŁODZIEŻ A OBRONA PAŃSTWA

W. Dratwikowski, Warszawa.
Szkoła Zdobnicza

Przywilejem młodości jest pionierskość. Na wszystkich terenach młodzi stoją na pierwszych placówkach, wnosząc nowe prądy, porywając za sobą innych. W czasach niewoli młodzi zapaleńcy ustawicznie chwytali za broń, nie dozwalając nikomu pogodzić się z życiem w organiźmie państwowym obcym. Młodzież w mundurkach, nasi koledzy szkolni, rzucali bezpieczną ławę szkolną i spieszyli do szeregów. Wychowankowie Pijarów, Liceum Krzemienieckiego i wreszcie gimnazjaści lwowscy wraz z wieloma innymi tworzą nieprzerywający się łańcuch młodych duchów, pełniących straż przy ojczyźnie. Od najmłodszych lat wciągnięci byli w wir walki z wrogiem podstępnym i bezwzględnym. Młodość ich była właściwie nieustanną potyczką, nieustanną czujnością... Nie mieli czasu na przygotowywanie pełni sił, lecz musieli stawać na zagrożonych pozycjach mając niewiele lat.

Wysiłkiem naszych poprzedników otrzymaliśmy prawo wychowywania się w kraju wolnym, niegnębionym przemocą wroga. Nie potrzebujemy zamykać w podziemiach miłości ojczyzny, wiary i języka. Odzyskanie wolnego państwa zdjęło z nas koszmar konieczności konspiracji, nienawiści.

Młodość naszą przebyliśmy w atmosferze wolności. Ze zdziwieniem patrzymy na obce nam, pozostałości czasów niewoli w duszach starszych. Przedziały, sympatie i antypatie przedwojenne mają dla nas wartość jedynie lamusową. Czujemy w sobie rytm budującego się państwa, wymagającego zaprzęgnięcia wszystkich sił do wielkiego dzieła. Istnieje dla nas podział na miłujących ojczyznę, gotowych do każdego poświęcenia, doceniających konieczność podporządkowania swego indywidualnego interesu dobru powszechnemu i tych, którzy są poza nawiasem młodości, sobków ceniących własną wygodę ponad spalanie się w ogniu miłości ojczyzny.

Najlepszym tego dowodem jest stosunek młodzieży do zagadnienia obrony kraju.

Obrona państwa stała się szerokim pojęciem, obejmującem każde działanie, myśl, zmierzające do zniszczenia niedomagań i przyspieszenia postępu. Sprawa nie kończy się na karabinach, lecz obejmuje całość naszego życia, które ukształtowane być musi pod kątem przydatności wielkiej mobilizacji ducha i ciała w obronie państwa.

Żyjemy w szkole, mając za zadanie zdobycie pew-

nego zasobu świadomości. Czy tylko to? Otóż nie. Nabywanie wiedzy jest rzeczą dodatkową, wtórną. Na pierwszym planie znajduje się wyrobienie charakteru.

W charakterach ludzkich mogą być rzeczy zmienne, różne u każdego człowieka, lecz służba krajowi wymaga by każdy wydobył z siebie te składniki które niezbędne są dla należytego rozwoju Polski. Mówię o elementach ducha rycerskiego. Umieszczeni na niebezpiecznym przejściu, kędy przewalały się od wiek wieków ludy najrozmaitsze, skazani jesteśmy na nieustanne pogotowie. Dlatego każdy z nas rozbudzić w sobie musi gotowość do poświęceń, odwagę obejmowania każdego posterunku, wolę doprowadzenia do końca każdego zamierzenia, niezłomną wiarę w przyjęte zasady i podporządkowanie dobru ogólnemu. Można być silnym lub słabym fizycznie, ale nie wolno uznawać i pielęgnować słabości psychicznej. Ta walka o charakter jest naszym pierwszym rozkazem żołnierskim. Ona otwiera nam drogę, wiodącą do przyczynienia się do wzmocnienia Polski.

Wychowywać się musimy w poczuciu konieczności posiadania silnych wiązań wewnętrznych. Wyrobiona w nas dyscyplina wewnętrzna stać się winna drogowskazem, umiejącym określić nasz sposób postępowania w każdym wypadku i dyktująca nam podporządkowanie się nadrzędnemu dobru społecznemu. Praojcowie nasi zgrzeszyli brakiem karności. Do nas przynależy odkupienie ich win przez uniknięcie anarchii duchowej. W dyscyplinie wewnętrznej, uznającej prymat interesu społecznego leży moc Nowej Polski.

Chcąc życiem kierować, chcąc nadawać formy, uznane przez nas za najlepsze — wpierw zaopatrzyć się trzeba w wiedzę, obejmującą szerokie horyzonty a jednocześnie sumienną, „przegryzającą" zagadnienie do samego pnia. Otwórzmy szeroko oczy i uszy, by nieobcą nam była żadna bolączka otaczającego nas życia. Nie żyjemy przecież za „murem chińskim", lecz stykamy się nieustannie z radościami i smutkami ludzkimi. Nauczmy się potęgować radość i gasić smutki.

Pieszo, rowerami, kajakami przemierzamy Polskę, rozwijając mieśnie. Woda, ląd i powietrze otworzyły swe podwoje. Łykaliśmy dym z obozowego ogniska i na czarownej Huculszczyźnie, i nad szemrzącym morzem. Pruliśmy fale „drugiego morza" jez. Narocz i Pilicy. Tę wędrówki wzmocniły naszą wiedzę o Polsce, ukazując nam żywo, bezpośrednio bolączki, nie mające tej twardej wymowy na kartach książki. Wędrówki te dały nam i dawają nietylko tęższe mięśnie, ale i surowe poczucie obowiązków, które nas czekają.

Powyższe myśli są własnością całej młodzieży polskiej, która pogłębiając wiedzę, hartując charakter, poznając bolączki Polski, które chcemy usunąć, rozwijając umiejętności wojskowe i fizyczne — rozszerza krąg mobilizacji powszechnej, jakiej wymaga szeroko pojęta obrona państwa.

Wiemy, że naród jest dla nas największą miłością, obrona państwa — najświętszym obowiązkiem. Nie ma pod tym względem odszczepieńców wśród nas, młodych. Napełnieni entuzjazmem młodzieńczym nieugięci w dążeniu do raz wytkniętego celu wypełnimy obowiązek, a miłość napełnimy promienną radością i wolnością.



CI, KTÓRZY IDĄ OBOK NAS...

A jednak życie w mieście jest trudne. To się tylko tak zdaje, że niby nic specjalnego, że wszystko jest w porządku. Rano opuszczamy dom, bierze nas pod swą opiekę szkoła, by po skończonych lekcjach oddać znów domowi. Dom, szkoła — lekcje, trochę sportu. Gdy nam potrzeba rozrywki i zabawy — mamy wieczorki szkolne, teatr, filmy dla młodzieży, a Deanne Durbin w „Pensjonarce" tak słodko się uśmiecha — ona, jedna z nas. Wszystko jest uregulowane, obmyślone i zgóry wiadome.

No dobrze, ale czy nic już nie ma poza tym wszystkim? Jest jeszcze wiele rzeczy. Jest polityka, są wielkie

sprawy, sprawy dorosłe i doświadczone, jest — nędza. Nędza bliska nam, choć zupełnie nieznana, codzienna walka o trochę strawy, o pracę i zarobek, nędza naszych rówieśników, młodzieży poza szkolnej i opuszczonej, nędza Polusa, nędza baraków. A i tam przecież żyją!

Codzień na przystanku tramwajowym mijają się dwaj chłopcy — uczeń z teczką i gazeciarz z gazetami. Obaj niosą pod pachą swoje warsztaty pracy, tylko, że jeden pracuje na dzień dzisiejszy, a drugi — na swoją przyszłość. Codzień patrzą sobie w oczy, ale nigdy nie zamienią przyjaznego słowa. A przecież życie ich, tych, czy innych takich samych, skrzyżuje się niejednokrotnie. Już dzisiaj na zawodach piłki nożnej głosy ich brzmią zgodnym chórem: — „Gola! gola!..." i tego z gimnazjum, siedzącego na trybunie, i tego, który handluje gazetami lub pracuje w warsztacie rzemieślniczym, a teraz wlazł przez parkan i jest na meczu na gapę. A za lat parę spotkają się w wojsku. Jeden będzie miał świadectwo szkolne w kieszeni, drugi ostatnią, na gazetach utargowaną złotówkę. Okryje ich jeden mundur i równe tempo wybijać będą ich nogi na defiladzie trzeciomajowej.



W świetlicy młodzieży robotniczej

Więc czemu tak jest, że się teraz nie znają, że nie mają sobie nic do powiedzenia? A może znaleźliby dużo spraw do obgadania, tylko dzieli ich takie dziecinne: kto pierwszy zacznie?

Nędza miejska, mieszkańcy przedmieść, suteren i Polusów mają też swoją młodość i swoją wiosnę. Nie od nas zależy, by tę ich młodość ubrać w szaty dostatku materialnego — możemy jednak dać im wiele dobrego w dziedzinie ducha i umysłu, w dziedzinie — serca.

Ci chłopcy i dziewczęta spragnieni są życia, pragną oderwać się od zaduszonych i zatłoczonych mieszkań, od codziennej walki o chleb, od codziennej ciężkiej pracy — choć na chwilę chcą znaleźć się w tej lepszej, świątecznej jakby atmosferze, chcą myśleć rozumnie i przeżywać głębokie i piękne wzruszenia. Nauka, dostępna dla nich i nie wymagająca więcej wysiłku, niż ich organizm, zmęczony ośmiogodzinnym dniem pracy fizycznej, dać jest w stanie — jest dla nich rozrywką i ma urok nowości. Życie towarzyskie, nie to z ulicy, ale na trochę kulturalniejszym poziomie — jest radością dnia powszedniego. Oni też chcą czytać piękne powieści, ciekawie rozmawiać, tańczyć i chodzić do teatru lub kina. Dlatego tak wielkie jest przepełnienie w szkołach wieczorowych, świetlicach, klubach i związkach, które tę młodzież organizują. Wszyscy spośród nich, którzy szukają nowych dróg dla swego losu, którzy chwytają każdą możliwość wzniesienia się ponad swą codzienność, pójścia o krok naprzód — lgną do organizacyj społecznych, rozsianych po całej Warszawie i robią tam tak szalony ruch, tak wyrywają losowi każdą okazję życiową, że chyba nigdy nie będzie dość takich organizacyj, ani ludzi, którzy się współpracy z tym elementem poświęcą.

Nie uwierzycie, gdy przytoczę fakty. Nie uwierzycie, że młodzi robotnicy w waszym wieku uczą się z zapałem angielskiego, że z zainteresowaniem uczęszczają na kursy pierwszej pomocy lekarskiej, że garną się do szybownictwa, że kształcą się na kursach dla przodowników pracy świetlicowej, aby nawet swoimi skromnymi umiejętnościami i wiedzą posiadaną umieć w przyszłości dzielić się z młodszymi, lub niżej od siebie stojącymi. I to wszystko w chwilach wolnych od pracy zarobkowej, za cenę godzin, skradzionych wypoczynkowi, a często zdrowiu...

Przyjaciele, wy, młodzi, wy, którym dano tak wiele. Chodzicie jakby wąskimi korytarzami waszych własnych zainteresowań, widząc tylko cel wytknięty zapobiegliwą myślą waszych opiekunów — nie zbaczacie w bok, nie oglądacie się poza siebie. A naokoło was wre milionowe miasto. Setki tysięcy dziewcząt i chłopców w waszym wieku żyje obok was, żyją oddzieleni jakby chińskim murem — nie interesujecie się nimi zupełnie. Ofiara dana na pomoc zimową dla bezrobotnych nie zwalnia was przecież od obowiązku zainteresowania się waszymi braćmi, którzy w jednej Ojczyź-

Radość przyjaciell — gazeciarzy



nie z wami żyją, którzy razem z wami stanowią wspólny front pracy i wspólny front obrony narodowej. Czy nie rozumiecie nakazu miłości bliźniego, czy nie przemawia w was poczucie solidarności społecznej? Czy tym wszystkim, nie z własnej winy upośledzonym, nie należy się od was — w imię sprawiedliwości — pewne wyrównanie?

Patrzycie z niewymówioną urazą na starsze pokolenie, że wam, młodym, wydarło wszystkie ideały, że cały romantyzm poświęceń wzięło na siebie, a wam zostawiło pracę, najtrudniejszy, bo szary i nie efektowny cel—podczas, gdy wasze młodzieńcze skrzydła chciałyby mieć górniejsze loty, na swych ramionach chcielibyście czuć jakiś ciężar większy, bardziej oderwany od dnia codziennego. Nie umiecie go znaleźć i błąkacie się między porywami do pracy, a psychiczną sytością, gdy to się ręce rozkłada i mówi, że wszystko już zostało zrobione, że dla mnie nic już nie zostało.

A tymczasem na tych samych ulicach, często w tych samych domach, w których wy mieszkacie — mieszkają również wasi rówieśnicy, którzy pracują rano, uczą się wieczorem, którym często brak sił i umiejętności, którzy często nieprodukcyjnie tracą energię, nieudolnie parając się z trudnościami w walce o wyższy stopień Człowieczeństwa, albo którzy zgoła marnują się, nie zdając sobie sprawy — że można tyle rzeczy pięknych i dobrych znaleźć w życiu...

Podnieście więc wgórę głowy — otwórzcie szeroko oczy, odetchnijcie głęboko — i rozwalcie wasze wąskie korytarze! Rozejrzyjcie się — obok siebie znajdziecie zadania i cele, znajdziecie ideały: podać dłoń pomocną tym wszystkim, którzy walczą o lepsze dla siebie jutro. Droga do pracy dla was stoi otworem!

Podlodowska.

DLACZEGO BUDUJEMY C. O. P.?

Ludziom, obsiadłym, jak mrówki, skąpą ziemię, pchającym się w dziesiątciu do pracy przeznaczonej dla jednego — dać możność przejścia z przeludnionych gospodarstw wiejskich do warsztatów przemysłowych — państwu stworzyć umieszczoną centralnie bazę przemysłową, nienarażoną na zniszczenie pierwszym atakiem wroga — oto przesłanki powstania Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Wiek rozdarcia ziem polskich między trzy odmienne systemy państwowe zostawił trwałe ślady, odczuwane na każdym kroku. Przede wszystkim objawia się to w nierównomiernym rozwoju kultury materialnej poszczególnych dziedzin Polski. Otrzymaliśmy w spadku po zaborcach wieś przeludnioną, miasta zabudowane źle, bezplanowo, zapełnione zbędnymi pośrednikami. Trud Legionów wyrąbał słupy graniczne — uczynienie przestrzeni między tymi słupami krajem ludzi mocnych i szczęśliwych — to cele „kampanii wojennej" następców.

Jednym z etapów walki o Polskę bogatą, pełną ludzi pracujących, „zszytą" w jeden silny organizm jest budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego. Powstaje on na terenach, wymagających największej troskliwości.

Przeludnienie przy wysokim procencie gospodarstw karłowatych dających jedynie możność wegetacji a nie życia, stworzyło armię ludzi zbytecznych, niepotrzebnych przy dotychczasowych ich warsztatach pracy. Nie mieli dokąd odejść, gdyż zaborcy rozmyślnie nie dopuszczali do uprzemysłowienia, mimo prastarych tradycyj zaczątków przemysłowych tych właśnie okolic. Ziemia rzeszowska, lubelska i kielecka, na obszarze, których rozsiadł się C. O. P., mimo bliskości źródeł nergii, bogactw naturalnych, posiadania odpowiednich rąk do pracy żyły poza nawiasem życia i postępu. Nędza, zacofanie królowały niepodzielnie...

Wolni Polacy zaczęli urządzać „dom" według swej myśli. Po wytężeniu mózgów i ramion budową Gdyni i Mościc przychodzi kolej na Centralny Okręg Przemysłowy. Beton, stal, dzielne ramię robotnika i mózg in-

żyniera zaczynają tworzyć zręby olbrzymich przedsiębiorstw, — które zatrudnią armię rąk dotychczas uznawaną za niepotrzebną.

C. O. P. zakrojony został na olbrzymią miarę. Na miejsce przysłowiowych dróg, pełnych wybojów i zasadzek powstać ma pierwszorzędna sieć dróg. Ziemię zapomnianą przez sąsiadów przetną wielkie szlaki kolejowe. Do zakątków dotychczas zabitych deskami od świata i żyjących dawnymi czasami dotrą potężne źródła energii, wykorzystujące „biały węgiel", źródła gazowe Małopolski Wschod. itp. Chaty kurne i przepełnione muszą ustąpić pochodowi nowych doskonalszych tworów.

Umieszczony pośrodku Polski, znajdujący się w dogodnym położeniu, jeśli chodzi o dostęp do bogactw naturalnych, mający tradycje historyczne przemysłu od najdawniejszych czasów (okolica Kielc, tzw. Zagłębie Staropolskie) — posiada C. O. P. wszystkie warunki rozwoju. Jednocześnie pociągnie on za sobą i inne dzielnice, przede wszystkim Kresy Wschodnie, tworząc dla nich pomost komunikacyjny i podstawę przemysłową.

Nas młodych przejmuje entuzjazmem rytm żelaza i wysiłku ludzkiego, wprzęgniętego w służbę rzeczy wielkich. Wyciągamy swe dłonie, młode i jeszcze niewyrobione, lecz chętne, by wytężyć je wraz z innymi.

Leon Gajewski - Lubicz

STALOWE MIASTO NA PIASKU

Żeby zrozumieć całą wartość tkwiącą w samej choćby nazwie „Stalowa Wola" — trzeba, zanim się tam pojedzie, wstąpić najpierw do Rozwadowa. Rozwadów — stare miasto, stary ład. Wszystkie jego ulice zamkniemy w obejściu kilkunastu minut drogi. Wszystkie sklepy, domy, sprawy małego miasta, wszystkie nadzieje na przyszłość — wszystko zamkniemy w najprostszych zdaniach.

I gdy wszystko już obejrzeliśmy — wszystko poznaliśmy — ogarnia nas przeraźliwa pustka. Przecież to jest koniec świata! Małe, przerażające swoją pustką i ciasnotą miasteczko, na którym przez całe lata i dziesiątki lat rosła pleśń gnuśności i nieróbstwa — uderzy nas swą martwotą jak obuchem. W piętnaście minut obeszliśmy wszystkie jego kąty — i co dalej? Co dalej!

Tu jest strasznie stwierdzamy z najgłębszą melancholią — i chcielibyśmy stąd wiać ekstracugiem. Ale nie można. Pociąg odchodzi stąd trzy razy dziennie — jesteśmy zamurowani w kieracie wąskich, smutnych, odrapanych uliczek, w szarzyźnie placu rynkowego, który po raz pierwszy od istnienia miasta będzie teraz porządnie wybrukowany. Pociąg odjedzie za kilka godzin — ale nas coś stąd wypędza — Stalowa Wola leży o parę kilometrów stąd zaledwie — trzeba tam jechać choćby końmi, jeżeli się niechce grzęznąć w przerażającej nudzie małego pokoiku hotelowego.

Więc teraz Stalowa Wola. Wiosenny wiatr dmie i rzuca sypkim piaseczkiem w oczy. Zielony las i piasek sypki, — mała prowizoryczna stacyjka — nic nie zapowiada tej legendy, jaka bije z nazwy miejscowości. „Stalowa Wola" — dlaczego stalowa? I teraz idziemy oglądać wszystko, pokolei, systematycznie. Hala, za halą — rusztowanie za rusztowaniem, warsztat za warsztatem. Po

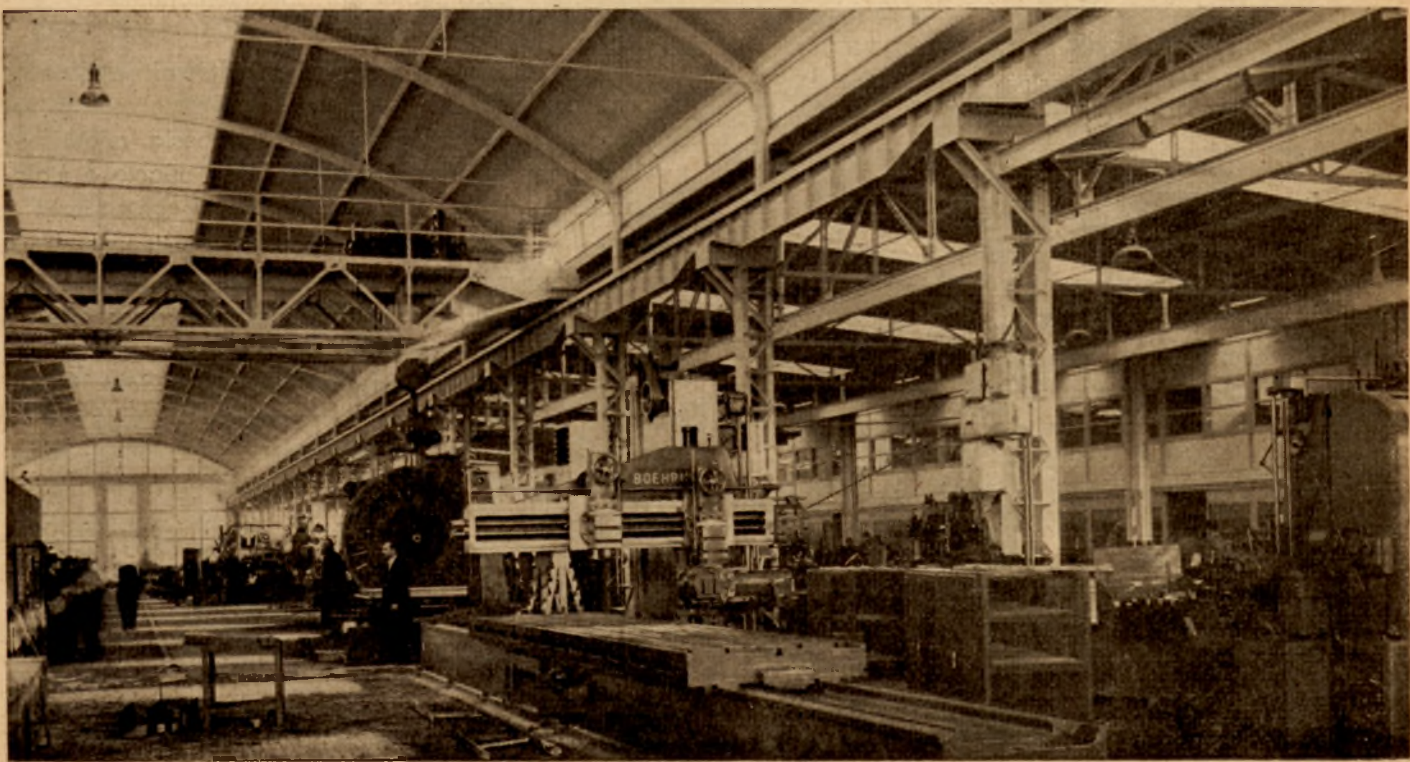


Pną się konstrukcje ku niebu... ze szczerych piasków wyrastają hale fabryczne...



„Wszędzie stwierdziłem nie tylko sens gospodarczy tej pracy, ale i niezwykły wprost entuzjazm pracowników, realizujących to wielkie dzieło, które nazywane jest Centralnym Okręgiem Przemysłowym... coraz częściej zjawia się twórczy wysiłek w środowiskach tak dziś żywotnych, jak np. Rzeszów, Sandomierz, czy Stalowa Wola. .

(Prez. Mościcki o budowie Centr. Okręgu Przem.)



ucieczce niedawnej z Rozwadowa — w miarę jak przemierzamy nieskończoną przestrzeń zakładów ogarnia nas już nie podziw — ale poprostu lęk — od tego wszystkiego co zrobiono, co się robi, co się jeszcze zrobi. Jest to coś tak niespotykanego w naszych warunkach, że nie dziwi, a zatyka! Nie imponuje nam może wielkość wzniesionych hal, ilość przęseł i liczba stanowisk warsztatowych — ile organizacja i szybkość tej pracy. Ta szybkość nas uderza najbardziej. Niech tempo i rozmach tej pracy zilustruje następujący fragment. Kiedy zwiedzałem Zakłady Południowe — nadeszło właśnie do dyrektora pismo w sprawie wybudowania szkoły powszechnej i gimnazjum. Pomyślcie sobie — „jak to pięknie, że już teraz o tym się myśli! Za kilka lat...

— Prawda panie dyrektorze, że za kilka lat będzie tutaj porządna uczelnia dla dzieci robotniczych — szkoła powszechna, gimnazjum, szkoła dokształcająca. Dyrektor zaśmiał się i podsunął mi papier. Przeczytałem najwyraźniej „szkoła i gimnazjum mają być wykończone na dzień 1 września".

Nie wierzyłem. Dyrektor obliczył całkiem spokojnie.

— Do końca kwietnia skończymy z planami — w pierwszych dniach maja zaczniemy robotę. Więc będzie: maj, czerwiec, lipiec, sierpień — cztery miesiące — ee, panie! My nie takie roboty wykonaliśmy w cztery miesiące. Co to jest dwa zwykłe gmachy w dobry kwartał?!

To było naprawdę piękne. Ale w duchu nie wierzyłem. Myślałem — przechwałka. I z tym uczuciem, że mi się coś tutaj mówi „na wyrost" — pojechałem zwiedzać osiedle, które powstaje właśnie naokoło Stalowej Woli. Mówię — osiedle, ale to jest nieprawda. Miasto na 10 tysięcy mieszkańców! Zobaczyłem wszystko dość pobieżnie — i wtedy uwierzyłem, uwierzyłem, że mnie nie oszukują żadnym wybujałym entuzjazmem.

Prawda! Powstaje tu miasto — jedyne w Polsce. Rozplanowane urbanistycznie, idealnie zdrowe, wycięte wśród sosen leśnych, wzniesione w diabelskim tempie na gołym piaseczku.

Zwiedzałem mieszkania robotnicze. Mój Boże — płakać się chce ze wzruszenia i radości! Takiego mieszkania życzę każdemu inteligentowi! Poprostu wychuchane — urządzone najstaranniej — wypieszczone! Każdy szczegół świadczy o tym, że budowano to z troską, z myślą życzliwą, ze zrozumieniem potrzeb życia pracownika. Ten rozmach, ta szczodrość przestrzeni. Elektryczność, łazienki, pralnie — hotel robotniczy, kasyno — zieleńce powstające w sypkim mułku żółtego piaseczku! Las po prawej i las po lewej stronie. Ambulatorium i mały — tymczasowy szpitalik. A tutaj miejsce na szpital prawdziwy. Tutaj szosy i drogi cięte w świeżym, żywicznym lesie. Tutaj kanał usprawniający — tu plac główny w dzielnicy robotniczej; tędy będzie prowadziła nowa linia nowej elektrowni, którą się buduje.

Z drugiej strony osiedle dla pracowników umysłowych, hotel, kasyno — wielkie bloki wznoszą się wśród zieleni. Czerwoną cegłę zarzuca się na świeżo grząskim tynkiem. A tu — wśród jałowców nowa kolonia domów — tutaj będzie kościół — tutaj będą sklepy spółdzielcze, tu kino — i to wszystko rośnie na oczach — tysiące robotników ruchem pośpiesznym raźnych rąk — wznosi nowe miasto. Miasto — jedyne w Polsce — takiego nie widzieliśmy dotąd!

O, tam na zakręcie tej szosy jest wioska. Mieszkają w niej murarze, którzy tu przyjechali razem z przedstawicielami firm budowlanych. Za rok nie będzie tej wioski — zniknie zupełnie — tam będzie właśnie szła nowa droga — może przy tej drodze powstanie boisko sportowe — może jeszcze jedna świetlica wśród lasu?

Jaką wolę trzeba było mieć, żeby wykonać taki plan i w takim czasie. Zdaje mi się, że od tej chwili kiedy wzniesiemy ten nowy ład — przestaniemy wierzyć w końcu we własną niemrawość, własną nieudolność, słabość organizacji. Bo to jest nieprawda, to jest smutna, przeszła bajka — to jest koszmarny Rozwadów — który wobec tej nowej, powstającej siły — skazany jest na zniszczenie.

A czy uwierzycie! W Stalowej Woli brak jest ludzi do pracy! Tak, to się wydaje nieprawdopodobne — ale gdy się zapytać w administracji, skąd się rekrutują ślusarze, tokarze, monterzy — powiedzą wam — z całej Polski. To są ludzie dziś najbardziej poszukiwani. Mechanik zarabia tutaj więcej, niż wysoki radca w ministerstwie. Czasem więcej, niż starosta. A jaki stąd wniosek? Zaraz wam odpowiem.

Jakże mi żal jest tych ludzi, którzy uważają, że kończąc nie gimnazjum humanistyczne, ale właśnie szkołę mechaniczną — są „gorszymi" inteligentami, że są obywatelami innej trochę kategorii.

Dziś taki fałszywy wstyd zbankrutował właśnie w Centralnym Okręgu Przemysłowym. Potrzeba nam ludzi, którzy swoją inteligencją, wytrwałością, młodością i wiedzą rzemieślniczą budować będą miasta o stalowej woli.

Potrzeba nam konstruktorów, ludzi myśli i pracy — ludzi wartościowych. Ci znajdą w Polsce miejsce dla swojej energii — będą wycinali zielone drzewa w lesie, by na ich miejscu stawiać, murować nową Polskę. Będą osuszali bagniska — sypali tamy — budowali elektrownie — bo już nareszcie weszliśmy w jakiś wielki rozpęd gospodarczy, bo budujemy, budujemy, budujemy.

Potrzeba nam młodych ludzi, dla których ideałem nie będzie kariera urzędnika na poczcie — ale człowieka, który potrafi wziąć szpadel do ręki, młot, cyrkiel i logarytm — i w nowym wymiarze stworzy nowe dzieło.

Potrzeba nam ludzi o stalowej woli.

Zenon Skierski

NA POGRANICZU...

Mieliśmy w tym roku na defiladzie 3-go Maja szczególnie miłych gości — były to dzieci z Działdowszczyzny. I kiedy tak defilując słyszeliśmy malców, krzyczących „Niech żyje p.w.k." przypomniało mi się zaraz, jak to niedawno, spotykaliśmy się w nieco innych okolicznościach. Zanim opowiem, jak to było, słów kilka o obozach wędrownych w ogóle.

Każdy, kto choć raz wiódł żywot koczowniczy, wie, że obóz wędrowny, to jeden cud. Spakować do plecaka najkonieczniejsze graty, plecak na grzbiet i — w świat. Idzie człowiek, pogwizduje z cicha, pożywi się „zupką", gotowaną na maszynce, prześpi w stodole i idzie dalej.

W zimie na nartach, w lecie kajakiem, rowerem, „per pedes apostolorum" — jak się da.

Prócz takich czysto włóczęgowskich obozów bywają obozy wędrowne o specjalnym charakterze. Chodzi o wiele rzeczy. O zetknięcie się człowieka z miasta z człowiekiem ze wsi. A jeżeli obóz idzie na pogranicza — o zetknięcie się człowieka ze środka Polski z mieszkańcem kresów. W jednym i drugim wypadku o szukanie spraw wspólnych, burzenie „chińskiego muru", nawiązanie kontaktu, wymianę wartości. Grupa medyków wędruje od wsi do wsi z apteczką, udziela porad, rozdaje lekarstwa.

Inny zespół powędruje z przygotowaną wieczornicą — z szopką, piosenkami, tańcami regionalnymi. Inni — pójdą poprostu pomagać przy żniwach.

Wszyscy — poznają wieś i jej życie, poznają kraj i ludzi. Dają coś z siebie i coś wzamian biorą.

A z dziećmi działdowskimi i z nami było tak:

Zima. Ferie Bożego Narodzenia. Sala szkolna w którejś z licznych wsi powiatu działdowskiego. Właśnie przed chwilą napalili — temperatura podnosi się do + 4° C.

Wędrówka na dzisiaj skończona, — zostajemy w tej wsi. Rozchodzimy się po domach, pogadać z ludźmi, zaprosić na wieczornicę, poszukać noclegów. Jeszcze umawiamy się, rozdzielamy między siebie wieś, a przed szkołą już czeka gromadka dzieci, — oczy ciekawe i troszkę jeszcze niepewne. Wiedzą, że coś się szykuje — coś nowego, innego, — coś dla nich.

Więc zabawy: piłka lalki, piosenki, stroje z szeleszczącej, kolorowej bibułki. Dzieci przedstawiają razem z nami. Po obiedzie przychodzą drugi raz, o dwie, trzy godziny zawcześnie. Nie mogą się doczekać. Nawołują z za uchylonych drzwi Celinę („dzieciarka" obozowa): „Pani próba! Pani próba!" Temu podarła się kryza z bibułki, temu bibułkowa czapka spada na oczy. Trzeba poprawiać, kleić, szyć, uspokajać.

Dzieci działdowskie. Trudy, Lischen, Hansy i France o polskich, tak bardzo polskich nazwiskach. Popisują się deklamacją niemieckiego wiersza, są „sechs Jahre alt'... Pastor mówi im: „ty masz czyste ręce — tak, ty jesteś niemieckie dziecko, a to jest polskie dziecko — o jakie ono ma brudne ręce..." Po tej — po **naszej** stronie. Mazurskie dzieci....

Wieczorem do obozowej medyczki przychodzą mali pacjenci. Skaleczony palec, boli ząb, przeziębienie krosty. Czasami — jaglica. Uderza fakt, jak nawet wśród zamożnych rodzin mało uwagi zwraca się na higienę i zdrowie...

Dzieci przybyszów. Tych, którzy po wojnie przybyli tu spod Mławy, Białegostoku i z innych okolic. Osiedlili się w ziemi działdowskiej w nadziei, że tu łatwiej będzie wyżyć i dorobić się. Wędrowali najbiedniejsi — komornicy. Nie spełniły się ich nadzieje. Nielicznym lepiej się powiodło, reszta klepie biedę do dziś, odbijając się stopą życiową od gospodarzy Mazurów. Antagonizm starszych przeniósł się na dzieci. Mali Mazurzy — „gburskie" dzieci zgóry traktują biedniejszych rówieśników. Ci przybysze reprezentują polskość... Czy lepiej repre-



„Pani próba! Pani próba"

zentują ją dwory, niepłacące przez szereg miesięcy najemnikom, dwory o walących się zabudowaniach, o jednej (jak mówią złośliwi) krowie?

Majątki tego typu parceluje się. Ale komu sprzedać tę ziemię — miejscowym Mazurom, czy sprowadzonym z głębi Polski osadnikom. Robią i tak i tak. Inteligencja miejscowa, zwłaszcza ziemiaństwo patrzy na Mazurów pesymistycznie. Że „to wszystko Niemcy", że w ogóle — nie warto...

Propaganda zza kordonu idzie rzeczywiście mocna, przez biblioteki, przez sanitariuszki — „Schwestern", przez organizacje, gazety, piosenki...

Jacyż są ci, o których dusze toczy się walka. Co oni sami czują, myślą, mówią? Tego nie wiem. Dziesięć dni wędrówki to jest mało, śmiesznie mało. Najrozmaitsze sprawy ukazują się, znikają, znów widzimy je od innej strony, — problem przesuwa się na inną płaszczyznę, zmienia rozmiary. Trudno się zorientować. A czasem przychodzi chwila, obrazek jakiś dezorientujący już kompletnie — nie nadający się na ilustracje żadnej teorii, a przecież mający własną dziwną wymowę.

W jednym z domów, gdzie nocujemy pod ciepłą „pluchą" (= pierzyna) na honorowej ścianie pokoju wiszą obok siebie dwa udekorowane portrety: Adolf Hitler — Józef Piłsudski. W domu mówią po niemiecku...

W innym domu przyjmują nas z ogromną serdecznością. Para staruszków nie chce nas wprost wypuścić z pokoju,żalą się przed nami na los starych — dzieciom oddali już gospodarstwo — opowiadają sprawy, o których nie zwykło się mówić obcemu przychodniowi. żalą się mową polską, mazurską — cudną, jak stary kancjonał. A potem, że oni są optanci — więc Niemcy...

Gdzie indziej rozgadaliśmy się ze starą Mazurką. Także optowała. Na ścianie wisi portret Führera. I ona żali się na ludzi i świat — że są źli i pełni nienawiści. Że przecież Polak i Niemiec, to ludzie przez tego samego Boga stworzeni. Że tylko ciemny naród tak się kłóci. Jak się panowie ministrowie spotkają (czyta przecież gazety, to wie) — nie kłócą się, ale owszem, z wielkimi honorami się przyjmują... Czerwienię się ze wstydu za mój świat przed tą dziwną filozofią starej kobiety...

Dzieci działdowskie przyjechały do Warszawy. Jechały pierwszy raz w życiu koleją, oglądały rewię polskiego wojska, przyjmował je sam Pan Prezydent na Zamku. Trudy i Lieschen, Hansy i France o polskich nazwiskach widziały Polskę...

Piszę o tym z dwu powodów. Bezpośrednio z powodu przyjazdu do Warszawy dzieci działdowskich, pośrednio — dlatego, że zbliża się lato i coraz ciężej wysiedzieć w mieście. Budzi się w wielu tęsknotą za włóczęgą, chce się uciec z miasta i pouganiać nie co po świecie. Dlatego piszę o obozach wędrownych. Bo chociaż jest ich coraz więcej, ale jeszcze mało. O wiele, wiele za mało.

Wanda Wysznacka

NAJMNIEJSZE OKRĘTY FLOTY WOJENNEJ

Wśród licznych dziś klas okrętów floty wojennej najmniejszym ich przedstawicielem jest niewielki okręcik, często duża łódź motorowa, zwany ścigaczem.

Zapoczątkowany w okresie wojny światowej ma on już za sobą cały szereg sukcesów bojowych.

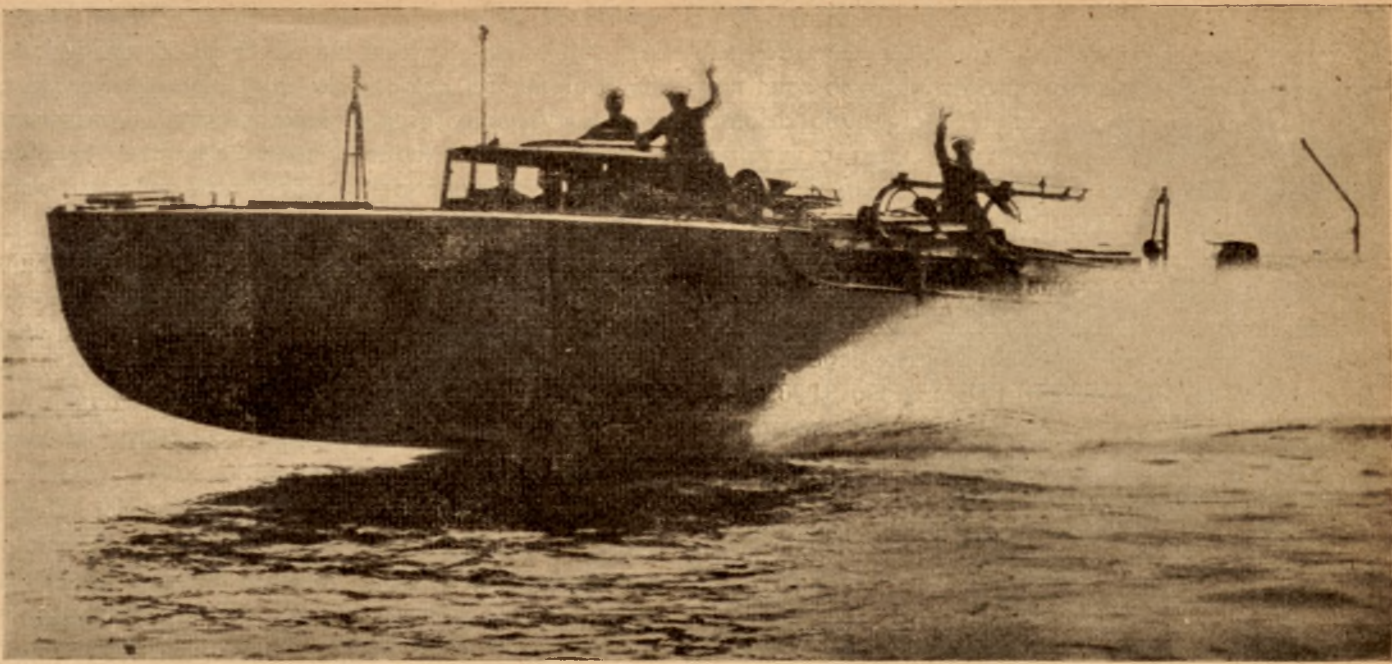
Największą aktywność w kierunku napadów torpedowych na okręty wojenne przeciwnika wykazały w czasie tej wojny niewątpliwie ścigacze włoskie na morzu Śródziemnym i Adriatyku. Działając pojedyńczo lub w zespołach i wyzyskując ciemności nocy, czy też złą widoczność — kręciły się ścigacze przy wybrzeżach nieprzyjaciela, przerywały potężne zagrody, liczne łańcuchy okrętów strażniczych i najbardziej skomplikowane przeszkody, by w odpowiednim momencie storpedować ten lub ów okręt austriackiej floty. Prócz tego zaś prowadziły niemniej skuteczną walkę z okrętami podwodnymi przeciwnika.

Atak dwóch ścigaczy włoskich na pancerniki austriackie „Szent Istvan" i „Tegethoff", idące pod eskortą 6 torpedowców, w dniu 10 maja 1918 roku — był niewątpliwie największym sukcesem bojowym tych okręcików.

Dnia tego o świcie dowódca ścigaczy, idąc wzdłuż brzegu, zauważył na widnokręgu dymy okrętów. Zdecydował się je zaatakować i idąc całą mocą, wkrótce zauważył okręty eskortujące. Wówczas zmniejszył szybkość do najmniejszej, by szumem motorów i śladem piany nie zdradzić swej obecności, przeszedł pomiędzy dwoma eskortującymi torpedowcami i znalazł się z prawej burty czołowego okrętu liniowego „Szent Istvan". Wóczas dając odrazu największą szybkość, zdążył podejść na bliską odległość i wystrzelił dwie torpedy. Obie trafiły. Drugi ścigacz atakował dwoma torpedami pancernik „Tegethoff", lecz nie trafił, poczem ścigacze zawróciły i bez strat wycofały się z akcji.

Po godzinie trzydzieści pięć minut po ataku „Szent Istvan" zatonął, grzebiąc ze sobą 4 oficerów i przeszło stu ludzi załogi.

Opisana akcja jest oczywiście tylko fragmentem działalności ścigaczy podczas wojny światowej. W rzeczywistości akcja ich była tak bogata w epizody, szczególnie w okresie, gdy poczęto je używać do walki z okrętami podwodnymi, że wymienienie wszystkich ich sukcesów w kilku słowach nie jest oczywiście możliwym.



Ścigacz na pełnym morzu.

Słysząc jednak tyle hymnów pochwalnych, każdy w prawie jest zapytać. — Co daje możność ścigaczom rozwijać tak doniosłą działalność bojową?

Otóż przede wszystkim ich małe rozmiary, dzięki którym są one mało widoczne, w nocy zaś lub we mgle są zupełnie niedostrzegalne. Następnym atutem jest ich ogromna szybkość, która ratuje ścigacze przed pociskami artyleryjskimi i pogonią okrętów nieprzyjacielskich i wreszcie potężne w stosunku do ich tonażu uzbrojenie, składające się przeważnie z jednego małokalibrowego działka, ciężkich karabinów maszynowych oraz jednej lub dwóch torped.

Te zalety taktyczne ścigaczy dają im możność, oczywiście tylko w odpowiednich warunkach widoczności (noc, mgła) i podczas sprzyjającego stanu morza, atakować i nawet zatapiać największe okręty wojenne.

Zalety te osiąga się specjalną budową i nadzwyczaj drobiazgowym wyposażeniem tych okręcików.

Do budowy kadłuba ścigacza stosowano do niedawna czerwone drzewo, które jednak przy dłuższym przebywaniu w wodzie ulegało nasiąkaniu wodą i deformowało się. To też obecnie używa się do tego celu specjalnie lekkie stopy i cienką hartowaną stal.

Kształt kadłuba ścigacza stosuje się dwóch rodzajów: zwykły stępkowy lub też redanowy. W ostatnim wypadku dno ścigacza posiada jeden lub dwa występy w formie stopni, które wynoszą ścigacz w biegu na powierzchnię wody w ten sposób, że przy swej największej szybkości ścigacz nie płynie lecz ślizga się, jedynie końcami redanów dotykając powierzchni wody.

Ten rodzaj ścigaczy jest najbardziej szybkim, ma jednak tę wadę, że wobec bardzo małego zanurzenia i płaskiego dna, ich zalety nawigacyjne są bardzo słabe. Użycie więc ich może mieć miejsce tylko przy zupełnie spokojnym morzu i tylko w pobliżu brzegów. O ile zaś operacja ma być wykonana z dala od bazy — ścigacze takie muszą być przewiezione na miejsce na pokładzie okrętów i tam dopiero opuszczone na wodę.

Ścigacze natomiast stępkowe, nie tak szybkie, lecz głębiej zanurzone, posiadają zalety nawigacyjne zbliżone do małych okrętów. Mogą też działać przy lekko wzburzonym morzu oraz w dalszych operacjach, dokąd mogą iść samodzielnie lub też na holu przydzielonych do akcji okrętów.

Główne mechanizmy napędowe ścigaczy stanowią silniki spalinowe o dużej mocy, typu przeważnie lotniczego.

Uzbrojone są ścigacze w torpedy, które są ich bronią główną, następnie zaś większe — w działa, mniejsze zaś — w ciężkie karabiny maszynowe lub też działka małokalibrowe.

Następną bronią, posiadaną przez ścigacze są bomby hydrostatyczne, zwane również granatami głębinowymi, przeznaczone do walki z okrętami podwodnymi.

W celu ułatwienia ścigaczom wykrycia okrętu podwodnego, okręty te są zaopatrzone w aparaty podsłuchowe, dające im możność określenia miejsca, a następnie ścigania niewidocznego okrętu, aż do chwili sprzyjającej do natarcia.

Paza tym każdy ścigacz jest zaopatrzony w aparaty do wytwarzania dymu, którym zasłania się, gdy znajdzie się pod ogniem artylerii nieprzyjacielskich okrętów i pod których osłoną stara się umknąć. Często używa je również dla przykrycia ruchów własnych okrętów wojennych.

Typu współczesnego ścigacza nie można zilustrować na jednym przykładzie, bowiem i te małe okręciki są budowane dla wykonywania różnych zadań i dla rozmaitych miejscowych warunków, charakteryzujących

dany teren działania. Specjalnie do torpedowania okrętów nawodnych nieprzyjaciela buduje się ścigacze małe, bardzo szybkie i nie posiadające dobrych zalet nawigacyjnych. Są więc to okręty, które mają działać w warunkach spokojnej powierzchni morza, a więc na redach, w zatokach, w pobliżu wybrzeży itp. Tonaż takich ścigaczy wynosi od 10 do 20 ton, siła maszyn od 750 do 2000 KM., a uzbrojenie 1 — 2 torpedy oraz 2 — 4 C. K. M. Szybkość do 58 wezłów.

Jeżeli natomiast ścigacz jest przeznaczony specjalnie do walki z okrętami podwodnymi — tonaż jego wzrasta nawet do 60 ton, siła maszyn do przeszło 3.000 K.M., uzbrojenie do 1 działa 75 lub 1 małokalibrowego działka — 2—4 C. K. M., 2 — 3 wyrzutni torpedowych i kilku bomb hydrostatycznych. Szybkość tych ścigaczy jest mniejsza, nie przekracza bowiem 45 węzłów, lecz za to trzymają się one dzielnie na fali.

Wreszcie trzeci rodzaj ścigacza — to okręt przeznaczony do obu tych operacyj. Ten typ, budowany przeważnie dla wykonania swych zadań w złych warunkach miejscowych waha się od 45 do 60 ton, wskutek zaś konieczności osiągnięcia zalet obu pierwszych rodzajów wykonany jest z większą precyzją, co oczywiście podraża koszt, lecz jednocześnie daje możność osiągnąć pożądaną szybkość, dobre zalety nawigacyjne i odpowiednie uzbrojenie.

Doświadczenia ostatniej wojny wykazały dobitnie wartość ścigaczy, czy to w samodzielnych operacjach, czy też w działaniach pomocniczych we wszelkich większych operacjach na morzu. W związku z tym wszystkie floty świata intensywnie rozbudowują te okręciki, tworząc typy coraz to nowe, szybsze i o lepszych zaletach nawigacyjnych.

Doceniając znaczenie ścigaczy, możliwości oddania przez nich wielkich usług, Liga Morska i Kolonialna przystąpiła obecnie do stworzenia flotylli polskich ścigaczy.

Żetski

RZEMIENNYM DYSZLEM WZDŁUŻ POLSKO-LITEWSKIEJ GRANICY

Było to w tych tak niedawnych jeszcze czasach, kiedy sąsiadująca z nami na przestrzeni 507 kilometrów, Litwa była dla Polaków bardziej daleka i niedostępna, jak Tybet lub Etiopia. Bo nie było kraju na ziemi, do którego nie można było wysłać z Polski listu, z każdym można było rozmawiać telefonicznie i wszędzie jechać, bylebyś, Czytelniku, miał paszport zagraniczny. Wszędzie — tylko nie do Litwy. Był to taki „węzeł gordyjski", który rozciąć można było jedynie mieczem. I tak się też stało. Ś.p. kapr. Stanisław Serafin oddał swe młode życie za dobrą sprawę, gdyż śmierć jego zapoczątkowała nowy okres we współżyciu obu państw. Okres oby trwały i ugruntowany na miłości braterskiej.



Pojednani... (Żołnierz K.O.P-u i policjant litewski)

Otóż w owych niedawnych czasach, latem, postanowiłem poświęcić część swych wakacyj na zapoznanie się z życiem naszego polsko - litewskiego pogranicza. Pamiętam, że kiedy się ze swym zamiarem zwierzyłem gronu kolegów, zakrakali mnie.

— Człowieku — mówili — czy ci życie nie miłe? Litwini cię ukatrupią. KOP ci nie pozwoli, on tam gospodarzem. A zresztą co za przyjemność pętać się po tych zabitych od świata deskami kątach?

Znalazł się tylko jeden, co wystąpił zgoła rozsądnie.

— A jednak on ma rację — powiedział. — Nie zwiedza się kraju ze stadną wycieczką, kiedy turystę pędzą truchcikiem od jednego do drugiego obiektu. I nie poznaje się go z okien pociągu, czy w pędzie limuzyny. Kto chce poznać i odkryć swój kraj, ten idzie pieszo z plecakiem na ramionach, ten jedzie rowerem, lub płynie kajakiem. I dlatego jestem zdania, że Witold (to niby niżej podpisany) więcej zobaczy i więcej się dowie, aniżeli my wszyscy razem wzięci...

I miał rację. Litwini mnie nie zabili (czego dowodem ten felieton) KOP nie tylko pozwolił, lecz najuprzejmiej woził mnie od strażnicy do strażnicy na przestrzeni wielu dziesiątek kilometrów. A że w ciągu tych dwóch tygodni straciłem parę kilo ze swego mizernego ciała, że przez ten czas odżywiałem się jedynie jajecznicą i szprotami w oliwie, to już jest wina mej niezapobiegliwości. Wierzyłem, że za pieniądze dostanie się wszystko. To była jednak stosunkowo drobnostka w porównaniu z plusami tej wyprawy na los szczęścia, z tą nie-

zapomnianą radością odkrywania dużych połaci kraju, połaci mało znanych i pełnych jakiejś dzikiej urody.

— Czy pan chce jechać na miejsce, gdzie się stykają granice Niemiec, Litwy i Polski? — spytano mnie.

Skwapliwie wyraziłem zgodę. Jedziemy z miasteczka Wiżajny. Droga wyboista, błotnista. Dookoła pagóry nagie, gliniaste, o trzewiach, pełnych żwiru. Po prawej ręce jezioro. Rozległe, głębokie, upstrzone czarnymi punktami nurków i dzikich kaczek. Czajki z żałosnym piskiem i kwileniem szybują nad wodą, z siłą pieniącą się o żwirowaty brzeg. Fala idzie za falą, wiatr niesie ten tak swoisty zapach dużej przestrzeni wodnej, zapach smoły i skoszonego siana, wiatr zacina drobnym, dokuczliwym doszczem.

Potem ujmują nas w swe ramiona jary o kamienistym dnie. Staczamy się ze wzgórz i mozolnie pniemy na szczyty. Dookoła nas brudno-żółte kopy zżętego zboża i na pniu stojąca, powalona wiatrem i przybita ulewą złota pszenica. Brudne, zaniedbane chaty, żałosne, oskubane wiśniowe drzewa z resztkami owocu na górnych gałęziach.

Jezioro Ilgie jednym swym końcem opiera się o terytorium litewskie. Jedziemy wciąż pod górę, mając jego pomarszczoną, brudno - stalową powierzchnię w dole pod sobą. Nieoczekiwanie bryczka staje. Przed nami barierka przy niej dwie wiechy (tyka z pękiem słomy u góry), tuż za barierą obejście chłopskie. Barierka, wiechy to — granica. Zabudowania są już na Litwie. Tu punkt przejściowy dla ludzi, mających swe grunta w granicach sąsiedniego państwa.

Wzdłuż miedzy chłop orze czarną, wilgotną ziemię, skiby kładą się na międzę, będącą granicą.

— Ostrożnie — wołam z niepokojem — zaorzecie granicę i konflikt gotowy.

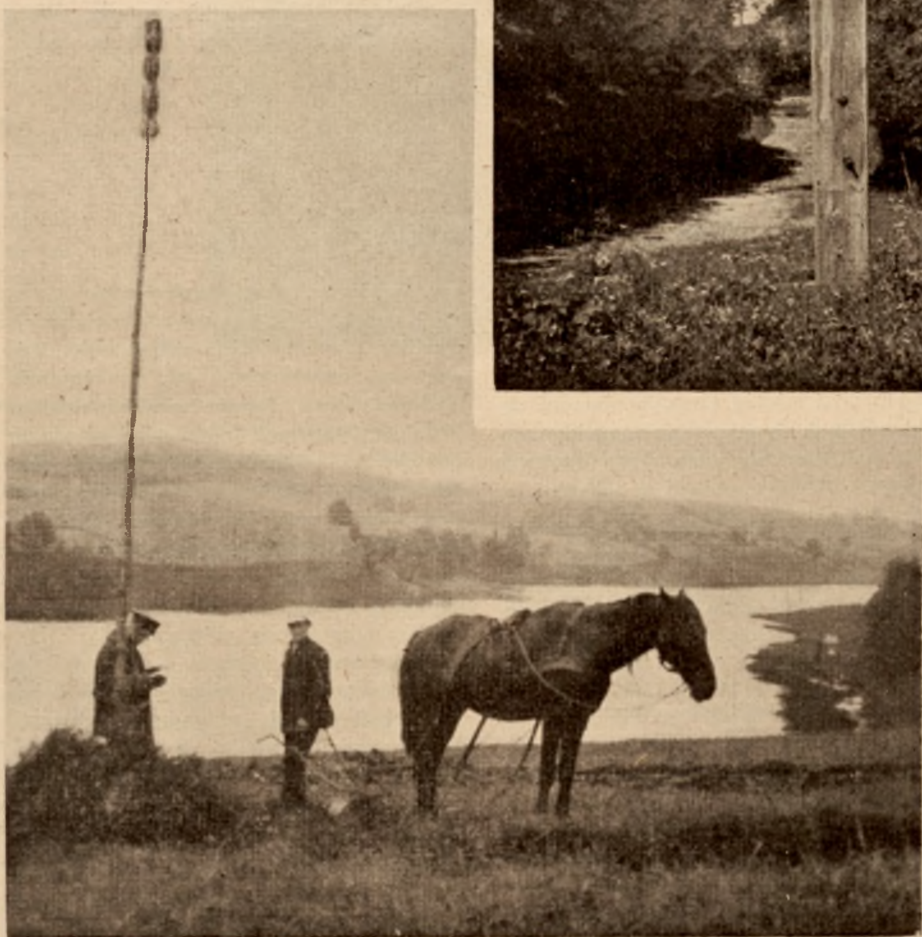
Chłop uśmiecha się dobrodusznie. Nie zrozumiał wyrazu konflikt, lecz domyśla się, że panicz z miasta żartuje. Niech mu tam będzie na zdrowie...

Granica jest tu chyba równie zawikłana, pokręcona, jak stosunki narodowościowe. Polskie enklawy znajdują się na terytorium czysto litewskim, litewskie wsie rozłożyły się większymi skupiskami po naszej stronie granicy. Jakże może być inaczej po blisko sześćset lat trwającym współżyciu i przenikaniu się obu narodów?

Linia wiech przebiega zupełnie dowolnie pola i wzgórza, przecina ziemie należące do jednej wsi, ba, do poszczególnych gospodarzy, opiera się o ściany niektórych strażnic KOP, wyczynia niesłychane łamańce, okrąża lub



Piękna kapliczka przydrożna



Przy granicy nie ustaje praca — sprawdzanie przepustki granicznej

dzieli jeziora. W wielu wypadkach droga, którą jechałem, biegła już poza granicą. Oglądałem się niespokojnie, ale powożący strzelec KOP uspokajał mnie dobrotliwie, że „badyle" (tak nazywają Litwinów) nie strzelają.

Bogać tam... Bo gdy w pewnym miejscu zeszedł aż do drogi litewski policjant graniczny i chciałem go sfotografować, zakrzyknął, że nie, nie zgadza się. Wziąłem to za prowincjonalną wstydliwość i skierowałem nań obiektyw, on zaś bez namysłu zmierzył do mnie z karabina. Rzecz prosta, musiałem natychmiast skapitulować. Cóż za niedelikatność... Ciekawa rzecz, czy i dzisiaj takie z nich raptusy?

Poza „punktami kontrolnymi" i „przejściowymi" policjantów litewskich spotyka się niewielu, widuje rzadko kiedy. Aparatu fotograficznego bali się jak ognia. Wreszcie na jednej ze strażnic nasz kapral, przedstawiwszy mnie jako swego znajomka, nieledwie jako syna, uwiódł Litwina, który pozował przykładnie przy ozdobnej bramie. Musiałem jednak mu zaprzysiąc święcie, że przyślę odbitki, co z wrodzoną sobie słownością uczyniłem.

Stosunki na granicy były na ogół zupełnie poprawne. Mały ruch graniczny nie napotykał na żadne przeszkody. Przepustki, drukowane w dwóch językach i wydawane przez właściwe starostwa, pozwalały na przejście z jednej republiki do drugiej, wypędzanie bydła na pastwisko, roboty rolne. Po dokonaniu zdjęć stanąłem już po stronie litewskiej (o słodyczy owocu zakazanego), asystując dziwnej czynności przebijania wozu ze zbożem długim żelaznym szpikulcem. Okazało się, że w ten sposób szuka on przemytu. Nieco później pędzono bydło na litewską stronę i obaj strażnicy: polski i litewski, skrupulatnie liczyli każdy ogon.

— Nie śmie być ani mniej ani więcej — poinformował mnie strzelec KOP, Wielkopolanin.

Chodziliśmy wzdłuż granicy. Idzie się tam szosą nigdy nie używaną i zarośniętą trawą. Dochodzi do drewnianego mostu, przerzuconego przez graniczną rzekę. Most był niegdyś solidny, dziś częściowo rozebrany, raził oczy brunatnem próchnem zbutwiałych doszczętnie części. Teraz, jak czytałem w pismach, drogi te i mosty odzyskały swe właściwe znaczenie arterii kraju. Są pośpiesznie naprawiane, doprowadzane do stanu używalności. Zgniłe podkłady kolejowe usunięto, szyny wydłużono i złączono na granicy, nawiązując zerwaną przed 20 laty łączność jednego organizmu.

Niczego bardziej nie pragniemy, jak tego, by się to stało możliwie rychło. W najgorszych dniach uczucia nasze względem Litwinów były uczuciami starszego brata. Wierzyliśmy, iż musi przyjść dzień pojednania. Niechaj to nawet nie będzie z dnia na dzień: czas pracuje na korzyść tego pojednania. Kiedy Litwini przyjadą do nas, do odrodzonej Polski, kiedy my pojedziemy do Litwy, na świętą Żmudź — to się poznamy. Zobaczymy, iż „nie taki diabeł straszny"...

Stoję, oparty o słup graniczny, i myślę o tych wszystkich rzeczach i rad jestem, iż jestem tak młody, bo życie, które jest przede mną, przyniesie ziszczenie tych wszystkich marzeń. Myślę, że czar przyrody i piękno licznych tu jezior zarzuca na duszę wrażliwego podróżnika nierozerwalne sieci i każą wspominać je i tęsknić za ich cichym, pierwotnym urokiem. Przyszłość tych ziem leży przed nimi. Ożyją szosy, drogi i koleje. Jeziora zaroją się kajakami, białe żagle rozproszą monotonię wody. Słońce przeniknie do tak często brudnych chat i ciasnych mózgów. Nadejdzie nowa unia.

Nocleg wypadł mi nad wielkim, kilkanaście kilometrów liczącym jeziorem Gołądziś. Z okna na piętrze widać było światełka w oknach litewskiej wsi, deszcz siekł po dachu, szumiały drzewa i biło gniewną falą o brzegi jeziora. Zdrożony, przemoknięty i zziębnięty wyciągnąłem się z rozkoszą na twardym łóżku. Byłem syty: przed chwilą, mrużąc z rozpaczy oczy, zjadłem talerz jajecznicy.

Zaturkotał przejeżdżający wóz, zaczłapały ciężko obute nogi przechodzącego patrolu, poza tym była ogromna cisza — wewnętrzna raczej. I myśli krążyły — bez przepustki i paszportów — ponad granicą, dzielącą żyjące z sobą wspólnie pół tysiąca lat narody.

Włożyłem słuchawki na uszy. Właśnie Warszawa zapowiadała suitę Meyera Helmunda „Wieczór nad Newą".

Nie było przestrzeni i granic. Jedna rzecz jest wspólna: geniusz ludzki i muzyka, która dociera i jest rozumiana wszędzie.

Witold Wroński.

„M G Ł A"

Wicher przewalał się nad schroniskiem, łomotał w ściany, chwytał chałupę za czuprynę, wyczesywał ze ścian jęki, skrzypiał zasłonami przy oknach, chuchał w szyby kłębami ciężkiej mgły. Góry znikały gdzieś daleko, nagle wynurzało się z bieli coś ciemnego, czerniał przez chwilę jakiś potężny zarys, by zamazać się znowu w oparach. Chwilami przebłyskiwała zmętniała i pofałdowana woda jeziora, przykry świst przedzierał się przez złomy kamienne progu, na którym stał budynek.

W salce sypialnej powietrze było ciężkie, śmierdziało tchnieniem siedmiu niezbyt czystych ludzi, których zapotniałe i zmęczone ciała wydzielały w nocy ostry odór. Nie odświeżały atmosfery i schodzone buty z grubej skóry juchtowej, podkute żelaziwem i walające się między metalowymi prętami piętrowych łóżek.

Himalaja obudziło wreszcie te, nie nadające się oddychania powietrze i przeciągając się leniwie, wydobył spod sztywnych kocy zegarek.

Była szósta... Zwlókł się więc niechętnie z wilgotnej poduszki, siadł na posłaniu i został tak przez chwilę niedługą nieruchomy, jak zaczadziały. Za kamienną, z byle jak obrobionych głazów złożoną ścianą, wicher wyprawiał swoje diabelskie nabożeństwo, dmuchał w organy, przycichał, niby podając na kolana, pełzał chwilę gdzieś nisko, udając, że tłucze łbem o skałę i znowu porywał się przed siebie. Himalaja zdecydował się wreszcie i zeskoczył z pryczy. Przede wszystkim zaczął mocować się z okiennicą — wiatr wyrwał mu ją z ręki, trzaskał zardzewiałymi hakami w szybę, jak w cymbały i wtłoczył kłąb zimnej mgły. Rąbnął wreszcie ramę, aż wszystko zadźwięczało i tak się skończyło chlubnie Himalajowe otwieranie okna. Pogoda była beznadziejna. To dopiero — mruknął Himalaja. Idiotyczne! Znowu wlazł na pryczę, naciągnął koce, i dumał chwilę. — Diabli nadali — zaklął już, leżąc. Był uwięziony w schronisku. — Chyba, że się przetrze... pomyślał bez przekonania. Rzeczywiście, mgła za okienkiem gęstniała, wiatr syczał głośniej. Rozłożył się wygodnie na twardej pryczy i podciągnął koc pod brodę. — Do cholery z pogodą, — zaklął brzydko i zasnął. Przespał ciężką godzinę i obudzony stukaniem butów za drzwiami, zlazł z łóżka i zaczął się ubierać. Łachy były mokre, buty, skarpetki, wszystko nasiąkło wilgocią. — To i myć się nie ma poco — pomyślał z zadowoleniem, zanurzając końce palców i nosa w zimnej wodzie. Mydło wpadło poprzedniego wieczora do kubła z pomyjami i trzeba było obywać się bez niego. Wyszedł wreszcie z okropnie dusznej sypialni. W pokoju kręcił się już Piotr. — Himalaja! Dżija!— powitali się wesoło. Piotr wyciągnął palec i wskazał mgłę za oknem. Himalaja wzruszył ramionami. — No, trudno bracie, dzień jest stracony. Cały dowcip polega teraz na tym, aby uprzyjemnić sobie pobyt w tej dziurze.

— Ale co robić?

— Zjeść śniadanie.

Usiedli obaj przy stole, rozkładając przed sobą bochen chleba, puszkę konserw, nóż fiński i pudło z cukrem. Jedli w gnuśnym milczeniu i tylko wiatr huczał za oknem, z dołu, z kuchni, dolatywało brząkanie garnków i skądś szuranie butami. Przy bocznym stole tłuściutki jegomość z rodziną trząsł kolankami, marszczył czółko, pulchnymi rączkami wskazywał szanownej małżonce fotografie na ścianach i od czasu do czasu chichotał z zadowoleniem, aż mu ryże wąsiki pulsowały.

Nagle... Właściwie nie nagle; uprzedziło go zamieszanie na dole — wbiegł Kacian.

— Chłopcy, ktoś wzywa pomocy w stronie Pośredniej Grani — idziemy?

Porwali się od stołu — liny, haki, młotki, nagły rwetes, ktoś się zbudził obok, roztętniła się podłoga od szybkich kroków. Trzasnęli drzwiami.

Zimny wiatr przywiał ludzki strach przed końcem wszystkiego, mękę walki o życie, o życie! Wizję tego nieszczęśliwego, przywartego do ściany, z tchem w płucach zapartym, z sercem rozdzwonionym, między nieznanym Bogiem i wyjącą mgłą. Było coś żołnierskiego w tym samotnym chodzie po zru nowanym pobojowisku natury, gdy kroki szczękały po gładkim granicie, jak werbel, kipiący na napiętej skórze. Przysiedli na chwilę na rozpękniętym w miał piargu, ścielącym się u stóp ściany. Kocian rozpoczął ciężki mozoł skalny. Mgła gubiła go, wykreślała, zasłaniała wymiary, godziny, rozsądek... — Jakoś to będzie — mruknął Piotr bezdźwięcznie. Przeszorowali przez pokaźną łatę brudnego, spotniałego śniegu, syczącego zda się czarną szczeliną, wytopioną wzdłuż ściany. Wspinaczka... Kolejno każdy ruszył, chwytał wysterknięć, przekładał linę, asekurował, ruszał się w mgławej nicości, szarzał niepewnie...



Tatry. Pośrednia Grań — wspinaczka
fot. H. W. Mogilnicki

— Możemy krzyknąć?

Krzyczeli. Głos tonął w białej mgle, odbił się od turni i odleciał na karku wichury. Wiej! Wiej! Wiej! zdmuchnij z warg głos, ciskaj w bok, w dół. — Po chwili coś się odezwało, ale czy człowiek, czy echo — nie poznali. Sunęli stromą półką aż ku ujściu wąskiej rynny, strzelającej w mgłę.

— A ten biedak czeka tam pomocy i przeklina chwilę w której się urodził, — myślał któryś. Wzniósł się znowu o metr.

— Nie ma czego zazdrościć — ręka szuka chwytu; podciągnięcie. — Ale gdybym tak ja... myślał którąś częścią mózgu. Odpoczywają chwilę na niewielkim wybrzuszeniu; pustka szara i zimna pod podeszwami. Piotr sapał. Jak dojedziesz do Małkini, to mi powiedz, ty lokomotywo — mruknął Himalaja złośliwie. — Nogi drętwiały. Mgła rzedła, szare światło zaczęło się sypać z dołu i z boku. W leniwie rozbłyskującym świetle wisiały ciężkie chmury, ścinając jak nożem, ginące w oparach wierzchołki górskie. Świt pozwalał dojrzeć szaro siną raptawicę ściany, rozsypaną u dołu w sute fałdy piargu. Gdzieś bokiem spod Łomnicy z łomotaniem, jakby kto zsypywał tonny węgla do skrzyni ogromnej, szła lawina. Wzrokiem trwożnym szukali jej drogi. Przestraszony świstak pisnął przeraźliwie. Szczyty sterczały ciężkie, osowiałe, pełne ponurego dostojeństwa. Chmury wisiały wokoło łbów, niby czupryny wzburzone. Dołem sypał przez kamienie potok nikły, mdły i szary, zabielony miejscami od gwałtownych spadków przez stawiarskie ściany.

Szerokim trawersem osiągnęli ujście pionowego, szerokiego komina. Zaczęły się chwile upartej walki ze ścianą, natężenia wszystkich sił, zaciśnięcia zębów. Pot zlewał czoło. Granit był coraz gładszy, piorunem spadające płyty uciekały spod nóg. Łomotał młotek, zabijający haki asekuracyjne. Sunął biały wąż liny.

Uuuuch... grań. Zobaczyli jej piły, zęby, noże, na tle niebywałego obrazu równin spiskich, ujętych z boków ramą dwóch ścian, przykrytych gładkim plafonem chmur, z za których słońce zalewało lekko sfalowaną dal jaskrawej zieleni i soczystych, żylastych lasów, bujnie rozlewających się w dole, w nierzeczywistej wprost polewie kolorów.

Szarpnęli się pod uderzeniem wichury; zdało się, że z dołu lecą banie powietrza i eksplodują z wściekłym porywem w wąskiej szczelinie przełęczki, gruz, szuter i usypisko skalne, porwane wichrowym prądem, prały po nogach. Z dołu patrzyły od mgieł mętniejące, głębokie oczy stawów, zawartych skalną powieką.

Kiedy już trzeba było odejść od tego widoku, smutek dziwny

owładnął sercem, jeszcze się oczy nie napatrzyły, a już zapomnieć trzeba...

Ruszyli w dół. Z rozpęknięć skalnych sączyły się lawiny mgły, niby dymy bezgłośnie toczonej bitwy, zasłaniające chwilami biały punkt schroniska Tery'ego.

Gdzieś w połowie ściany zatrzymali się dla odpoczynku na niewielkiej płasience.

— Słyszałem, wyraźnie słyszałem... Głos leciał stąd, od Pośredniej Grani. Regularne wołanie. Przechodziłem ścieżką i z góry... To ta przeklęta mgła musiała spowodować wypadek — mówił Kacian, przesuwając bezwiednie między palcami swoje liny.

— No więc trzeba szukać dalej — wytchnął ciężko Himalaja, ciężko sapiąc, i wsłuchując się w nieregularne bicie swego serca.

— Trzeba szukać — powtórzył Piotr; twarz miał rozczerwienioną i zagrzaną.

Szukali. Płynęły chwile łamigłówki uchwytów, stąpnięć, ryzykownych trawersów i przewieszek, zaglądania w chłodną stromiznę żlebów.

Nie ma...

— Trudno, chłopcy. Wracamy, Trzeba szybko zawiadomić Pogotowie, bo każda chwila droga.... bo każda chwila, to ściekająca kropla niezatamowanej krwi, to nowy, rozpaczliwy wysiłek serca...

Dosięgli wreszcie piargu. Na ścieżce grupka turystów, jacyś starsi, brzuchaci panowie w tyrolskich spodenkach, niezgrabne, tłuste, wyjaskrawione kobiety, z szacunkiem obserwowali poplątane liny i twarze pomęczonych ratowników.

Rozminęli się.

Nagle z tyłu dobiegło wołanie. Kacian stanął, jak wryty... ależ — to ten głos!

— Coo?

Wołanie.

W oka mgnieniu, bez znaku, skoczyli w jednym kierunku — tłusty jegomość nadął się i pohukiwał w złożone dłonie.

— Panie — ryknął Kacian, chwytając go za ramię — to pan — pan — dziś rano pod Pośrednią Górą — nad ścieżką?

Jegomość wytrzeszczył oczki ze zdumieniem.

— Eeee... aaa — lubię tak sobie echa popróbować — a bo co?

Chłopcy pobledli z wściekłości.

Gimn. Mickiewicza, Warszawa. **Jan K. Sterling.**



WIOSENNY DOM

Za kilka uśmiechów wynająłem wiosnę
I mieszkam teraz wysoko — pod samym błękitem,
a ptaki, o niebo zazdrosne,
krążą nade mną śpiewnym sufitem.

Drży dom z zieleni, powietrza i krzyku
na rusztowaniach promieni,
a ja na mocy szalonych wybryków
mieszkam w nim — wolny lokator przestrzeni.

Rozpycham ściany powietrza, na woni kwiatów wiszę,
oddechem szerokim podnoszę błękitną pokrywę dachu
i domem całym kołyszę —
aż runie ze mną w ogrody, siódme piętro zapachu.

WITOLD DEGLER

C I E K A W O S T K I

Myślimy sobie nieraz o różnych rzeczach i przychodzą nam do głowy różne pytania: skąd się bierze jakaś rzecz, jak działa jakaś maszyna, dlaczego to i owo robi się tak, a nie inaczej i jakim sposobem można to i owo zrobić.

Szukamy w książkach: nie znajdujemy. Pytamy znajomych, rodzinę — nie wiedzą. Co tu robić, żeby się dowiedzieć różnych rzeczy, których nie wiemy i to tak, by nie trzeba było kupować bardzo drogich specjalnych książek, wymagających nieraz gruntownego przygotowania naukowego, aby je można było dobrze zrozumieć — i by nie męczyć pytaniami znajomych i rodziny?

Spróbujemy dopomóc naszym miłym Czytelniczkom i Czytelnikom. Umówimy się tak: Będziecie pisać do nas listy z owymi pytaniami, a my — jeżeli te pytania będą tak ciekawe, że mogą zainteresować wszystkich naszych Czytelników — będziemy umieszczać w naszym piśmie — i będziemy na nie odpowiadać. Myślimy, że tak będzie bardzo dobrze, bo w ten sposób znajdziecie w naszym piśmie wszystko, co byście chcieli wiedzieć, a czego nie znaleźliście w książkach i na co nie mogli wam odpowiedzieć krewni lub znajomi.

Jeden tylko chcielibyśmy postawić warunek: nie pytajcie o takie rzeczy, do wyjaśnienia których nie wystarczy jedna strona naszego pisma. Naprzykład aby wyjaśnić działanie stacji nadawczej radiowej trzebaby napisać całą książkę. Więc zadawajcie nam takie pytania, na które można krótko odpowiedzieć, a wtedy otrzymacie odpowiedź jasną i krótką. No i jeszcze jedno: jeżeli pytacie o taką rzecz, która tylko wam się zdarzyła, lub tylko was interesuje, a nikogo więcej — to odpowiedzi na pytanie oprócz tego, który pytał nikt nie przeczyta. Więc zadawajcie takie pytania, których wyjaśnienie interesuje wszystkich, a nie tylko jednego Czytelnika. Bo „Młody Nurt" jest dla wszystkich, a nie dla jednej osoby.

Damy wam przykład, jakie pytania mogą wszystkich zaciekawić:

*

Na przykład takie pytanie: Czy został już wynaleziony sposób pędzenia silników składnikami wody, zamiast benzyny.

Ponieważ wiele osób interesuje się sprawą napędu silników, pozwolę sobie ogólnie rzecz opisać. Otóż woda, jak wiemy, składa się z dwuch pierwiastków chemicznych, z dwuch gazów, z wodoru i tlenu. Gazy te bardzo chciwie łączą się z sobą, dając wodę, tak, że jeśli weźmiemy naczynie z czystym wodorem i zmieszamy ten gaz z tlenem, a choćby tylko z powietrzem, w którym się tlen znajduje, to mieszanina taka, zwana gazem piorunującym, przy najdrobniejszej iskierce wybucha, tak gwałtownie łączy się tu tlen z wodorem, tworząc wodę, — że taki wybuch bywa ogromnie niebezpieczny.

Ostatnio taki wybuch zdarzył się na sterowcu niemieckim „Hindenburg", który był wypełniony wodorem. Widocznie gdzieś wodór się ulatniał, przez jakąś drobną szczelinę w powłoce balonu sterowego— i jakaś iskierka z silnika, czy też, jak twierdzą niektórzy świadkowie — uderzenie pioruna zniszczyło w okamgnieniu olbrzymi sterowiec.

Silniki, dziś powszechnie używane, napędzane są mieszaniną powietrza z rozpyloną w tym powietrzu benzyną. Taka mieszanina zostaje wepchnięta zapomocą specjalnego urządzenia do metalowego cylindra, w którym znajduje się tłok metalowy, ściśle przylegający do ścianek cylindra i połączony zapomocą t. zw. korbowodu, ramienia ruchomego z rodzajem korby, obracającej się, gdy tłok biega z góry na dół, lub odwrotnie, z dołu do góry w cylindrze. Kiedy tłok znajduje się u góry, t. j. kiedy przestrzeń wypełniona mieszanką benzynową jest najmniejsza, a mieszanka jest należycie ściśnięta przez tłok, specjalne urządzenie, zwane świecą, zapala tę mieszankę i następuje wybuch w cylindrze, który odpycha tłok ku dołowi. Korbowód połączony z tłokiem porusza wtedy korbę, zwaną wałem korbowym, a wał korbowy znowu wprawia w ruch obrotowy koła samochodu, motocykla, lub śmigło samolotu. Tak zbudowane są silniki które nazywamy spalinowymi, ze względu na to, że spalają się w nich materiały pędne. Możnaby teoretycznie biorąc, zamiast mieszaniny benzyny z powietrzem używać mieszaniny wodoru i tlenu, lub wodoru i powietrza, ale próby robione w tym kierunku nie dawały rezultatu. Gaz piorunujący ma znacznie większą siłę wybuchową, i trzebaby budować bardzo grube, silne cylindry, a także potężne tłoki, aby wytrzymywały tak wielką siłę wybuchu, nie niszcząc się. A co najważniejsze, produktem wybuchu gazu piorunującego jest woda, która musi być z cylindra usunięta, gdyż tłok nie poruszałby się łatwo po powierzchni pokrytej wodą, a nie smarem, t. j. olejem. Ponieważ zaś benzyna z oliwą jakoś się zgadzają, a woda z oliwą nie zgadza się zupełnie, więc i z tej ważnej przyczyny nie zdołano zbudować silnika pędzonego gazem piorunującym. Jest jeszcze jedna ważna przyczyna: mieszaninę benzyny z powietrzem łatwo jest zrobić i nie jest ona stosunkowo tak łatwopalna, jak mieszanina wodoru z powietrzem, wobec czego i tu napotyka konstruktor na olbrzymie trudności.

*

Jak to jest, że z Ameryką rozmawia się telefonicznie przy pomocy kabla? Jeżeli to jest kabel taki, jak kable telefoniczne u nas, to przecież w morzu powinny być słupy, albo kabel trzeba było zakopać, a jakże to uczynić pod taką głęboką wodą?

Kabel podmorski istnieje, wygląda tylko nieco inaczej niż kabel podziemny. Nie trzeba go zawieszać na słupach, bo na słupach nie wiesza się kabla tylko gołe, nieizolowane druty, zwane przewodami powietrznymi. Kabel podmorski składa się z kilkudziesięciu, albo nawet kilkuset par, bo do każdej rozmowy potrzebna jest para, t. j. dwa przewodniki, aby prąd wysłany z Europy mógł powrócić do niej z Ameryki drugim przewodem — więc takie kilkaset par przewodników, z których każdy jest izolowany papierem, cienką taśmą papierową, splata się razem w pęk, poczem tak przygotowane żyły kabla — tak bowiem nazywają się owe przewody — owija się najpierw papierem, po tym smołowanym płótnem, po tym okłada się pancerzem ołowianym bez szwu, następnie okręca się drutem, albo blachą stalową, po czym jeszcze okręca się taki kabel opancerzony sznurem wygotowanym w smole, i na wierzch znowu daje się pancerz ołowiany, albo jeszcze jedną mocną plecionkę konopną, wysmołowaną. Teraz, jak widzimy, żyły kabla są zabezpieczone i od zmoczenia, i od połączenia się z sobą, czyli, jak się to fachowo mówi, od zwarcia — i nawet od przegryzienia przez zwierzęta morskie. Pancerz stanowi oprócz ochrony przeciw przeciekaniu wody do wnętrza i przeciw ciśnieniu wody, ochronę od wpływów elektrycznych. Teraz tak przygotowany kabel, grubości ramienia dorosłego człowieka, t. j. mający około 10 centymetrów średnicy, a długości kilkuset kilometrów zwija się w wielkie zwoje na dnie statku specjalnego, zwanego układaczem kabla. Po naładowaniu kabla, statek wypływa na morze, pozostawiając koniec kabla przymocowany do brzegu. Wielkie zwoje kabla rozwijają się w miarę posuwania się statku

i kabel opada na dno morza, przy czym droga statku jest tak wybrana, by przechodziła nad dnem nie bardzo głębokim. Kabel rzuca się poprostu na dno morza, gdzie leży on sobie spokojnie, nie naciągnięty, ale przeciwnie, lekko powyginany w ogromne zygzaki, aby w razie np. trzęsienia ziemi lub jakichś ruchów wody i dna nie naciągnął się zbytnio i nie przerwał się.

Mimo tych wszystkich ostrożności kabel jednak czasem pęka, przerywa się. Wtedy trzeba wracać do początku kabla, podnosić go, opuszczać znowu dopóty, aż natrafi się na koniec urwanego kabla. Połączenia zerwanych końców żył zabierają dużo czasu, po tym sprawdza się połączenia, poza tym na pancerz trzeba nałożyć w miejscu złączenia mufy ołowiane, i tak połączony i ochroniony kabell opuszcza się dalej na dno. W razie, gdy kabel kończy się, a nie widać jeszcze brzegu, uwiązuje się na końcu opuszczonego kabla t. zw. boję, pływający widoczny znak, wskazujący koniec kabla i linę, przy pomocy której koniec ten podniesie się później, gdy statek, naładowany nowym kablem przypłynie na miejsce, w którym pływa boja. I tak bardzo pracowicie zarzuca się kabel na dno morskie.

Kabel jest bardzo drogi. Kilometr kosztuje kilka milionów złotych, praca przy układaniu jest ciężka, bo jeszcze trzeba wziąć pod uwagę burze, które przeszkadzają układaniu kabla, i wielki jego ciężar.

*

A teraz będziemy łowić perły. Z czego powstają perły?

Ano, sięgnijmy znow do jakiej książki i dowiedzmy się, jak powstaje perła. Mam taką wielką książkę, bardzo grubą, w dwuch tomach,nazywa się Życie Zwierząt, napisał ją Brehm, zoolog niemiecki. W tej książce znalazłem historię perły.

W morzach podzwrotnikowych żyje pewien gatunek małż, zwany bardzo pięknie perłopławem morskim. Po łacinie Meleagrina Meleagris. Są to mięczaki, których skorupa składa się z dwuch połówek, które zwierzę może zamykać i otwierać. Skorupa zbudowana jest z wytwarzanej przez perłopława masy, zwanej masą perłową, pięknie połyskującej i mieniącej się tęczowo. Perłopławy żywią się w ten sposób, że przepuszczają, otworzywszy skorupę, wodę przez swoje ciało, przez przewód pokarmowy, przy czym pochłaniają i trawią t. zw. plankton, t. j. drobne roślinki i żyjątka bytujące w wodzie. Czasem się zdarza, że wciągając wodę perłopław wciągnie też między skorupę i ciało ziarnko piasku, albo maleńką skorupkę jakiegoś ślimaczka, odłamek wodorostu, jednym słowem jakieś ciało maleńkie, ale nie dające się usunąć z wnętrza skorupy i uwierające biednego małża, który przecież nie ma rąk, aby owe przeszkadzające ciałko wyrzucić. Wydziela on wtedy masę perłową, która otacza owe ziarnko piasku, tworząc gładką kulkę o prześlicznym blasku. Kulka ta bywa mała lub większa, zależnie od tego, czy ciałko było duże, ostre, czy gładkie, i jaka ilość masy perłowej była potrzebna do tego, by kulka zrobiona przez perłopława — nazwijmy ją już perłą — przestała uwierać, jak kamyk w bucie — naszego perłopława. Czasem perły powstają jako oznaki choroby mięczaka, coś w rodzaju naszych trapiących ludzi, kamieni żółciowych.

Gdy się ludzie przekonali, że łowiąc perłopławy, można znaleźć prześliczne perły i zbogacić się — poczęli łowić w morzu, opuszczając się na dno, setki tych małżów — a przecież nie w każdej muszli jest perła. Żeby zaś zbadać czy perła znajduje się w skorupie mięczaka trzeba było zabić zwierzę, otwierając skorupę. Więc też w krótkim czasie nazabijano moc tych zwierząt, tak, że zaczęły one wymierać. Spostrzeżono to w porę, i rozpoczęto hodowllę perłopławów. Dziś już nie trzeba rozbijać skorupy, aby się przekonać, czy wewnątrz jest perła: hodowca prześwietla małża promieniami Rentgena i pozbawionemu perły małżowi wkłada do skorupy ziarnko piasku, albo coś w tym rodzaju, aby wytworzyć perłę, po czym znów wrzuca mięczaka do morza. Jak widzimy, piękne perły, są czymś w rodzaju łez cierpiącego zwierzęcia — a wydobycie perły wymaga zabicia małża.

*

Co to znaczy reżyserować sztukę teatralną lub słuchowisko radiowe? Jakie ma zadanie reżyser?

Sztuka teatralna lub słuchowisko radiowe tym się różni od powieści, że postacie występujące w powieści są opisane, wygląd ich, sposób myślenia, nawet ubiór i zwyczaje są przedmiotem dokładnych opisów; powieść także obejmuje tło historyczne, czy krajobrazowe, na którym akcja się rozgrywa. Utwór dramatyczny, t. j. sztuka teatralna składa się tylko ze słów, które aktorzy mają wypowiedzieć, i z pobieżnego opisu dekoracyj. Postać, której autor włożył w usta takie czy inne słowa musi aktor stworzyć, stać się uosobieniem tej postaci, musi współdziałać z autorem sztuki. Reżyser zatym jest po to, aby wysiłki aktorów uzgodnić, pomóc im stworzyć te postacie, nadać całej sztuce charakter jednolity — przemyślany, żeby dekoracje, kostjumy, typy odtworzone przez aktorów pasowały do siebie, żeby sztuka była odegrana jak najbardziej po myśli autora. Reżyser jest jednym słowem tą osobą, która napisanej przez autora sztuce nadaje kształt widomy, daje sztuce to, co w powieści jest opisem osób działających, tła historycznego i zwyczajów.

*

Na takie i inne pytania będziemy odpowiadali w „Młodym Nurcie"; piszcie zatem listy, jeśli pytania będą ciekawe, umieścimy w piśmie obszerne odpowiedzi na nie.

L E K C J A Ł A C I N Y

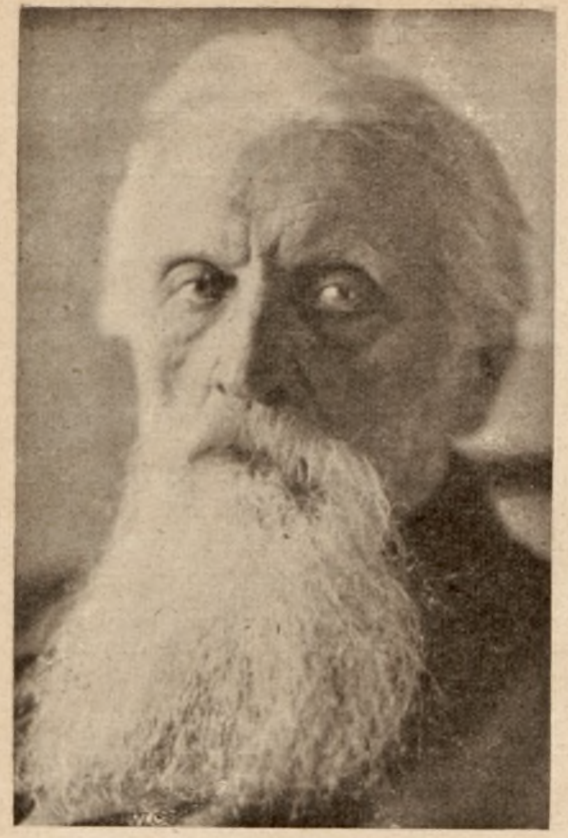
Znam dokładnie koniugacje i wyjątki,
„Jupitera" deklinuje się przez „Jovis".
Ale... wezmą wszyscy diabli moje piątki,
Jeśli krótko mi i szybko nie podpowiesz.

Może jednak... mów powoli, nie odrazu.
Czasownikiem posiłkowym... wiem, jest „esse".
Na wygnaniu zmarł Ovidius Publius Naso...
Nie potrafię równym krokiem przejść po desce.

Nie „bidenbum". To wzruszenie i nic więcej.
„Ars amandi" patrycjuszów była sztuką.
Nie na lutni grać potrafią moje ręce,
Nie srebrzyście, brzmią me słowa, ale głucho.

No, podpowiedz... nic „nie ściągaj", mów z pamięci.
Jeśli ściągniesz — ja potrafię też to samo.
...Czy i tobie tak się dziwnie w głowie kręci?
Więc przetłumacz mi z łaciny słówko: „amo".

RYSZARD KIERSNOWSKI



Ś. p. ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Zmarł jeden z najwybitniejszych umysłów Polski, człowiek, który stworzył całą epokę myśli polskiej. Pozytywizm zapoczątkowany został w Polsce artykułami Świętochowskiego. Był on czołowym pisarzem ówczesnego okresu Rozwijał bogatą działalność dziennikarską. Pisał powieści i dramaty, pełne filozoficznej głębi. Mimo osiągnięcia późnej starości nie wypuścił do ostatniej chwili pióra z ręki. Jego „Geneologia teraźniejszości" wzbudziła wielką dyskusję o stosunku naszym do przeszłości. Dzieło Świętochowskiego „Historia chłopów" stanowi niezbędną pozyzję w umyśle każdego inteligenta, wiążącego się z życiem społecznym. Walczył nieustannie o wolność i godność człowieka, nosząc z słusznością tytuł **posła prawdy.**

WYSTAWA WSPÓŁCZESNEJ RZEŹBY NIEMIECKIEJ W I.P.S-ie

W roku 1935 odbyła się w Berlinie wielka reprezentacyjna wystawa sztuki polskiej. Obecnie, drogą t.zw. wymiany kulturalnej, Instytut Propagandy Sztuki gości rewanżową imprezę niemiecką. 175 posągów, głów, popiersi, wykonanych przeważnie w materiałach szlachetnych, jak w brązie, kamieniu i drzewie, stanowiących dzieło 37 artystów rzeźbiarzy obrazuje nam fragment wielkiej wytężonej pracy, jaką Niemcy wykonują obecnie w kierunku stworzenia tej sztuki narodowej. Zgodnie z polityką Führera istotnym zadaniem sztuki niemieckiej jest ścisłe sprzęgnięcie jej z określonymi i realnymi zagadnieniami wysuwanymi przez życie, przez obsłużenie których współdziałać ma czynnie w kształtowaniu nowego oblicza psychicznego Niemiec współczesnych. W związku z tym prace rzeźbiarzy niemieckich przestały być przysłowiową już produkcją specjalnie wystawową, ich charakter i forma uzależniają się od miejsca i przeznaczenia dla których zostały wykonane. Ich miejscem właściwym są nowe budowle, z którymi współpracując rytmicznie mają podnosić ich charakter i wzbogacać wyraz plastyczny.

Oderwane od właściwego tła — budynku, przed którym się wznoszą, stadionu, wnętrza, alei czy placu — rzeźby wystawione w IPSie tracą niewątpliwie część swego istotnego charakteru. Zaś widocznie zbyt jest świeżym i nowym obecny wysiłek rzeźbiarzy, aby z wystawionych prac mogliśmy odczuć rytm i wyraz architektury mas, o jakiej w Niemczech się mówi. Nie mniej stwierdzić należy, że niemieccy artyści dobrze władają materiałem, rozumieją go, czasami nawet osiągają akcenty skupionej mocy i prostoty, jak np. w „Zwiastunie" Georga Kolbe, „Jutrzence" R. Scheibe lub w „Stojącej" J. Thoraka, autora mniej fortunnej głowy J. Piłsudskiego. Niektóre głowy odznaczają się siłą charakterystyki i dobrym odczuciem organiczności budowy. Należą do takich głowa „Hitlera" A. Brekera, głowa „Malarza Schwalbacha" R. Knechta i in. Bardzo dobre są również zwierzęta wykonane przez Essera, Gravenitza, Rölla, Hartha, Belina.

Jak wiadomo Niemcy uznali konieczność usunięcia w plastyce (często nawet w sposób drastyczny) wpływów „obcych narodowi i jego duszy , które otwarcie lub skrycie uprawiały lub popierały popierały anarchię polityczną" (dr. W. Rittich). Być może temu zawdzięczamy na wystawie brak rzeźb skrajnie modernistycznych i ekspresjonistycznych. Ale też zauważamy niemal zupełny brak secesji i b. umiarkowane tendencje stylizacyjne. Przeważa bezpośredni prosty kontakt z żywą formą natury, dążność do uwzględnienia w równej mierze jej prawdy formalnej jak i duchowej, coby pozwalało określić tendencję ogólną jako zbliżającą się do klasycyzmu.

Tu i ówdzie dostrzega się wpływy „obce", odbijające się zwłaszcza na typie kształtowania i opracowania fakturalnego, do których w pierwszym rzędzie należy wpływ dobrej współczesnej rzeźby francuskiej.



R. Knecht **Głowa malarza Schwalbacha**

Na ogół wystawa zaciekawia, tymbardziej gdy wiemy, że jest ona jedynie słabym zamaskowaniem rozmachu państwowego zatrudnienia rzeźbiarzy niemieckich, przed którymi otwarły się pola takich zadań i możliwości, o jakich nasi artyści mogą tylko zazdrościć w cichości ducha. Gdybyż Niemcy przy swych wielkich zamierzeniach realizacyjnych mogli dysponować takim materiałem rzeźbiarskim, takimi talentami, jakie my posiadamy! Czy wysiłek Niemiec współczesnych doprowadzi do osiągnięcia wreszcie jednolitego stylu — czas pokaże. Zgodzić się musimy z przedmową katalogu, że „musimy czekać na ich (t.j. rzeźbiarzy) wyczyny". Ale praca jest w toku i Niemcy w nią wierzą.

Stanisław Woźnicki.

DZIWNA PRZEMIANA STASIA ŻYRAFY



Łatwo przyznawało się słuszność przydomki Stasia, patrząc na jego figurę. Tak to była „żyrafa". Przecież sterczał w szeregu na samym przedzie, o głowę przerastając sąsiadów. Przy poruszaniu się naprzód (trudno te skoki nazwać chodzeniem) przypominał rzeczywistą żyrafę — wydawało się bowiem, że zupełnie przypadkowo kości złożyły kształt Stasia, a w czasie marszu każda część usiłowała odłączyć się od reszty. Biedny Staś nie mógł nigdy dojść do ładu z swymi rękoma i nogami. Nogi nie chciały mieścić się pod ławką i były „obstawione" przez sąsiadów z trzeciej ławki (Staś siedział w piątej). Ręce wyglądały na mocno niezadowolone z towarzystwa w jakim się znalazły. Dodawszy do tego rozwichrzoną czuprynę i cały szereg drobiazgów (sposób noszenia czapki, kieszenie wypchane itp.) znamionujące wielbiciela kowbojskich filmów — otrzymamy konterfekt dość dokładny.

Mądrość prawdopodobnie w pewnym okresie jest odwrotnie proporcjonalna do długości człowieka. Żywym potwierdzeniem tego prawa był Staś, odpowiający na najbłahsze pytania z niezmiernym wysiłkiem i to przy żywej pomocy całej „okolicy". Dawało to czasami mizerne rezultaty, gdy Staś niedosłyszawszy szeptu sąsiadów „palił" prosto z mostu, że Pyrhus w czasie pobytu w Galii stworzył Eneidę opiewającą zwyczaje galijskie.

Lecz nic nie jest pewnego na tym świecie — powiedział pewien mędrzec (jeśli zaś żaden z mędrców tego nie powiedział — zastrzegam sobie prawa autorskie). Staś „odmienił się".

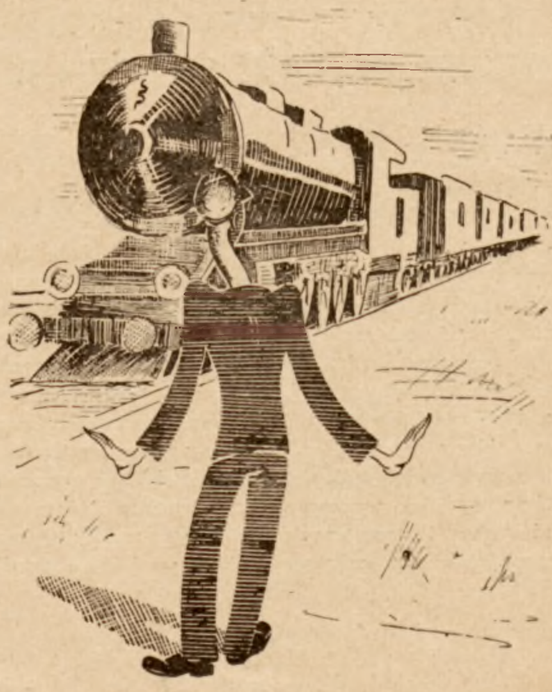
Etapy tej zmiany były żywo komentowane i obserwowane przez kolegów. Gdy w środę (zwykłą środę, ani dzień wolny, ani inne święto) Staś przyszedł do szkoły przykładnie uczesany szmer podziwu przeszedł po klasie. Zainteresowanie wzrosło nazajutrz, gdy zauważono pewne, nieśmiałe jeszcze próby elegancji w rodzaju przyszycia brakujących guzików, wyprasowania spodni itp. Przeszły trzy dni bez zmiany, gdy nagle Staś (o nieba zali mam temu wierzyć?) przyszedł do szkoły prawie, że przygotowany. Wyobrażacie sobie? Nie odpisywał na polskim francuskiego, na francuskim matematyki itd. Przerażenie ogarnęło klasę. Co się stało? Z niepokojem obserwowano Stasia, upatrując oznaki jakiejś choroby, przygnębienia czy czegoś podobnego, mogącego usprawiedliwić nienormalne postępowanie. Trochę odetchnięto, gdy okazało się, że nie przygotował lektury domowej i dostał „pałę".

Dwa długie tygodnie Staś utrzymywał w naprężeniu klasę, co dnia dodając nową niespodziankę do kolekcji poprzednich. Zaczął wyrażać się poprawnie; co więcej czytał księgi, nie zaliczone do obowiązkowej lektury. Kiedy wreszcie poprosił o przesadzenie do pierwszej ławki, by móc lepiej korzystać z lekcyj, uznano to za punkt kulminacyjny extrawagancyj Stasia.

Wydelegowano okrągłego Jasia do rozwiązania tej okropnej zagadki. Wynik dochodzenia okupionego czekoladką dla młodszej siostrzyczki otoczył go w klasie nimbem wielkości. Okazało się, że w przyszłym miesiącu przyjeżdża kuzynka Stasia, poprzedzona rodzinną reklamą piękności i mądrości.

Niestety losy zrządziły, że kuzynka przyjechać nie mogła. Cała klasa współczuła Stasiowi, wzdychającemu nad bezskutecznością swej odmiany. Niestety, nie potrafił już porzucić zdobyte narowy...

Włocławek gimn. **Leon Kulikowski**



WYSTAWA FILATELISTYCZNA

Odbywająca się w Warszawie w dniach od 3 do 8 maja b.r. V krajowa wystawa filatelistyczna jest niewątpliwie wielką atrakcją dla każdego zbieracza znaczków. Została ona zorganizowana wspólnie przez Związek Zrzeszeń Filatelistycznych w Polsce oraz Związek Kupców Filatelistów.

Wchodzimy do wnętrza gmachu Kasyna Garnizonowego, gdzie mieszczą się zbiory. W obszernym halu gwar i tłoczno, ponieważ tu właśnie znajduje się większość stoisk oraz „urząd pocztowy", którego główną funkcją jest przyjmowanie i stemplowanie kart pamiątkowych z specjalnymi znaczkami i kasownikami wystawowymi. Właściwe zbiory mieszczą się jednak na piętrze, wystawa bowiem jest jednocześnie swego rodzaju „targami", w których uczestniczy około piętnastu firm filatelistycznych z całego kraju.

Dostaję się do jednego z organizatorów Wystawy, prezesa Klubu filatelistycznego p. płk. Bałabana, aby dowiedzieć się od niego paru szczegółów. „Wystawa została zorganizowana zaledwie w ciągu dwóch miesięcy — mówi p. pułkownik — ale dzięki Bogu, że tak mało mieliśmy czasu, bo nie byłoby, gdzie pomieścić eksponatów". Rzeczywiście — pięć dużych sal Kasyna są szczelnie zastawione gablotami, w których pomieszczono znaczki. Większość jest naklejona na kartony albumowe, nierzadko jednak spotyka się całe arkusze oraz wiele kopert i kart (zespoły). Każdy z wystawiających, a jest ich około 90, posiada swój numer, wystawę zakończy bowiem przydział nagród w postaci medali.

Obchodzimy z p. płk. Bałabanem salę, stwierdzając, że Wystawa może zainteresować zarówno specjalistę, jak i przeciętnego, „niewykwalifikowanego" widza.

W największej sali mieści się n.p. muzeum poczty i telekomunikacji, gdzie przedstawiono obrazowo proces powstawania znaczka pocztowego: od projektu aż do kilku różnokolorowych odbitek, spośród których minister P. i T. dokonuje wyboru znaczka obiegowego. Od tych ostatnich cofamy się wstecz, dochodząc do pierwszych polskich znaczków, a nawet licznie pokazanych listów, pochodzących z okresu, kiedy znaczków jeszcze nie używano. „Po drodze" spotykamy prawdziwe „białe kruki": „te trzy znaczki mają wartość 10.000 zł." — mówi p. pułkownik — „są to jedne z ostatnich znaczków austriackich za 1,5 i 10 koron z czerwonym nadrukiem „Poczta Polska". Tutaj też znajduje się bogaty zbiór znaczków „miejskich" p. Tislowika oraz znaczków poczty legionowej. Curiosum stanowi również zbiór Litwy Środkowej p. S. Rembielińskiego. Znaczki zagraniczne, jakkolwiek jest ich znacznie mniej niż polskich naprawdę warte są zobaczenia. Przede wszystkim wspaniały zbiór „Bośni", kompletowany przez trzy pokolenia, „Stanów Zjednoczonych" oraz „Anglii" gdzie p. Jankowski zaprezentował piękny zbiór znaczków „królowej Wiktorii". Ciekawy jest również zbiór znaczków, pochodzących z poczty gen. Franco z Hiszpanii.

Na zakończenie oglądamy niewielki, ale zato bardzo ładny zbiór, wystawiony przez ucznia 6-ej klasy z Warszawy — Janusza Radwańskiego. „Niestety — jedyny" — mówi p. płk. Bałaban.

S. L.

ŚWIAT I ŻYCIE

W związku z reformą naszego szkolnictwa średniego, pisało się wiele na temat organizacji życia, organizacji pracy i lektury młodzieży szkolnej. Doświadczeni i znakomici pedagodzy śledzili z wielkim zajęciem pojawianie się, coraz to nowych, podręczników i pomocy szkolnych. Ciekawym jednak, wrażenie będzie, jakie odniosła sama młodzież, my, gdyśmy bliżej przyjrzeli się wysiłkom „starych", w celu zorganizowania nam pracy szkolnej. Wszystko, co tu zamieszczone poniżej, stanowi garść wrażeń i wypowiedzi, rozmów na temat świetnego wydawnictwa dla młodzieży szkolnej „Świat i życie".

Pamiętam, bodaj że w roku zeszłym zadano nam z języka polskiego temat „Maszyna, jako wróg i przyjaciel człowieka". Argumenty, kontrargumenty, za, czy przeciw? Długie narady, rozmowy i dyskusje. A w rezultacie doszliśmy wszyscy do wniosku, że to jest postęp, cywilizacja i ewolucja kultury — maszyna, — zwyciężanie natury. Człowiek, który ją stworzył, jest przecież przez nią wyprzedzany. Ale jednak, pomimo, że nie wolno nam tutaj pomijać sprawy człowieka, trzeba nam przyznać „maszynie rację". Wyprzedza, ale tworzy — lepiej i prędzej. Ale w jakim celu to porównanie? Otóż myśl o tej przodującej maszynie nasuwa się po przejrzeniu kart tej encyklopedii. Wszystko jest w niej postępem i wielkim krokiem naprzód. Wszystko tchnie nowym życiem, napaja pewnością jakiegoś lepszego, technicznie mówiąc, maszynowego jutra.

Ten ogólny jednocześnie i w miarę szczegółowy przegląd wszystkich dziedzin życia tworzy zresztą w głowie młodej i nieprzeciążonej dotychczas wielką pracą pewien chaos. Ale chaos ten potrzebny jest niewątpliwie do wykrystalizowania sobie światopoglądu, a właściwie może do naszkicowania sobie dróg pewnych, którymi ten światopogląd ma dążyć, i na których ma powstać. Z chaosu tego wyjść ma także pewna gałąź zainteresowań, pewna grupa zagadnień praktycznych, czy teoretycznych, bardziej lub mniej naukowych, które stanowić mają podstawę do poświęcenia się danej dziedzinie. A zresztą, jeżeli nie poświęcenia się całkowitego, to w każdym razie zbadania, o ile dana dziedzina, pozornie tak nęcąca i przyciągająca, jest dla tego młodzieńca czy dziewczyny odpowiednia i czy gotów byłby się jej poświęcić. Widać też w tym wydawnictwie pewną broń pomocną, przy wykonywaniu praktycznym reformy szkolnej. Abstrahując tutaj od tego, czy i w jakiej mierze reforma ta jest dobrze pomyślana, stwierdzić należy, że w wydownictwie „Świat i życie" zyska rękę pomocną. Jak wiadomo bowiem, ideą przewodnią tej reformy jest specjalizacja od najmłodszych lat szkolnych w pewnej dziedzinie. Otóż o ile, w normalnych warunkach, trudno jest bardzo, mając lat piętnaście zdecydować się, co do swego przyszłego zawodu, o tyle młody człowiek, który zada sobie ten trud niewielki, aby przy odrabianiu lekcji zaznajomić się z tą encyklopedią, będzie miał obraz różnorodny i pewien zbiór koniecznych pojęć, którymi operować będzie mógł w swoich poszukiwaniach.

Jedną jeszcze, ważną i świetną zaletą „Świata i życia", jest to, że czytelnik, młody czytelnik zwłaszcza, wyrabia sobie niezwykle cenną, przy wszelkiego rodzaju studiach, technikę pracy umysłowej. W tym wypadku technika ta zresztą, ogranicza się do jednego ze swoich działów. Ale do działu podstawowego, do umiejętności gromadzenia sobie materiałów do pewnej pracy, do umiejętności poszukiwania i wreszcie sprowadza się do koniecznego w każdej pracy naukowej, umiejętnego korzystania z pomocy naukowych.

Tyle co do samej encyklopedii. A jakie wywoła ona wrażenie w młodzieżowym społeczeństwie? Trudno jest na to pytanie odpowiedzieć, ale wiemy na pewno, że uzyskała ona całkowitą „aprobatę". Mówi się o niej dużo. Szuka się jej. A przy przygotowywaniu lekcji jest niekiedy zupełnie nieodzowna. Napisano ją, a właściwie sporządzono specjalnie dla młodzieży, to też ktoś z tego „społeczeństwa", kto używa jej jedynie, jako pomocy naukowej, znajdzie wszystko, co może go w danej chwili interesować. Począwszy od Arki Noego, a skończywszy na żeglarstwie (wprawdzie odległość nie wielka, ale tylko pozornie). Znajdzie cały kompleks zagadnień, potrzebny do tego, ażeby uchodzić w towarzystwie za „inteligentnego", lub żeby mieć w sobie ten skarb największy, mianowicie świadomość tego, że jest się czymś, bo zna się świat i życie.

Gimn. Mickiewicza Warszawa **K. P. M.**

PO OSTATNIEJ MATURZE



Prymusowi łopatę junacką dano...



Człowiek zmienia skórę

CZYTAJCIE

„MŁODY

NURT"!

REDAKTOR: Tadeusz W. Cieślak. WYDAWCA: Jan Radomski.

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362.

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Myśliwiecka 3. Codziennie od 10-ej do 14-ej.
Tel. Redakcji 8-63-66. Tel. Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.